Nr. 9. Warszawa, dnia 2 Marca (18 Lutego) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

OAZA ŚREDNIOWIECZNA.

Jest w Europie kraina, nad którą czas w biegu się zatrzymał, a przestwór w milczeniu odrętwiał. Gdzieindziej świat się poruszał, wrzał i kipiał, rwał się naprzód i cofał, żył nowemi ideami, pragnął nowych rzeczy i pragnienia swe wśród wstrząśnień i burz, jęków i radości, urzeczywistnił lub grzebał; gdzieindziej świat kochał, walczył i cierpiał: w tej krainie, na pomorzu bałtyckiem, powietrze było zawsze i jest spokojnem i głuchem i na modłę swoję urabiało i urabia oddychające niem istoty ludzkie. Raz tylko jeden, w naszem już stuleciu, doszło tam echo huraganu europejskiego; zresztą panowała niezmącona cisza bezwładu, niezachmurzona pogoda—mgły, niedające się niczem z równowagi wytrącić zadowolenie małości. Serca niczego tam nie pragnęły, bo żołądkom dobrze było z tem, co miały. Dla tej krainy słońce mogłoby wschodzić na zachodzie—i gdyby nie reforma, jaką wydać z siebie mogły już wojny chłopskie, powiedzieć-by można, że wiek, dla świata całego XIX, w błogosławionej oazie jest dopiero szesnastym. A ziemia tych błogosławieństw—toć-to słowiańska ziemia! Nad frontonem zamku stołecznego wzbija się konny posąg ostatniego z Obotrytów, opierających się nawale niemców. Ród dziś panujący od niego, od tego nieszczęśliwego, pętanego ciągle i łapanego w sidła Niklota się wywodzi, ród stary, starodawny: od skonu książęcia Obotryckiego w zasadzce niemieckiej siedemset lat już przewiało nad światem.

Cała organizacya polityczna i układ społeczny Meklenburgii okazać mogą ze szczególną dumą dyplomy swoje z szesnastego jeszcze wieku. Opierają się na akcie z d. 1 sierpnia 1523 r. Rządzą tym krajem jeszcze prawa patrymonialne, pojęcie państwowości jako prywatnego porządku, zasada przywilejów i praw stanowych, i najściślejszego kontraktu między feudalnym panem a wasalami. Szlachta jest całym narodem politycznie uprawnionym na wsiach—Ritterschaft; z miast przybywa do niej czterdziestu ośmiu burmistrzów—Landschaft. Naród ten składa się z około 750 osobników i wykonywa prawa swoje bezpośrednie—jak demokracya w Atenach. Kto posiadał dobra rycerskie, ten stał się i rycerzem, a przez rycerstwo i politycznie uprawnionym: dzięki temu do narodu należy i sześć spółek ekonomicznych chłopskich. Szlachta dzieli się na autochtonów i dopuszczonych do autochtoństwa (*Eingeborensein*), na mogących być dopuszczonymi i wreszcie na łyków wzbogaconych (*Bürger*). Obrady narodowe toczą rycerze wspólnie z grodami, ale konstytucya pozwala każdemu z dwóch odłamów na *itio in partes.* Naród nigdy oblicza ministrów nie ogląda; obaj Wielcy Książęta Schwerin i Strelitz, mianują razem trzech komisarzy na sejm; ale i komisarze porozumiewają się z sejmem tylko piśmiennie, ustnie jedynie z dwoma marszałkami. Wyborów, i nieporządków, i przedajności wyborczej, niema: każdy już w kołysce zostaje odrazu powołanym, *wirylnym* członkiem organizacyi stanowej, której jedynem przeznaczeniem i prawem jest bronienie przywilejów własnych i przykładanie się do ciężarów ogólnych tego niby—państwa.

Zbierający się co jesień sejm w Malchinie lub Sternbergu nie ma nawet sposobności do wykonywania rdzennego swego prawa; nikt nie myśli narodowi ani wydzierać, ani uszczuplać przywilejów; głównem zajęciem sejmowem jest uchwalanie podatków, a w rzeczach prawodawstwa ogólnego czynienie takich uwag, „którehy mogły stać się radami“ (*ratsames Erachten*). Sejmowi niewolno wtrącać się wcale do spraw domanialnych, do tego, co się dzieje na gruntach, będących własnością obu panujących (*Domanen*). Gruntów tych jest 7,080 kilometrów kw. na 16,233 ogólnej przestrzeni (43%), a mieszka na nich 230,000 ludzi na 750,000 ogółu ludności obu księztw (30%). Urządzenia publiczne na tych ziemiach są sprawą prywatnego gospodarstwa i nawet meklenburczykowi nie łatwo je poznać dokładnie. Jak reprezentacya, tak i skarb jest stanowym: panujący ma swoję *Rentereikasse*, sejm swoję *Landesrezepturkasse*, do ściągania podatków, wreszcie rycerstwo *Landkasten.* Zarząd kraju, nazwany *Landesregiment*, prowadzą panujący przez ministra stanu, trzech marszałków dziedzicznych, 8 landratów i burmistrza rostockiego—w sumie stanowiących *Landesdirectorum.* Oprócz tego istnieje stały komitet, jakby wydział sejmowy, z 9 członków. Kontrola funduszów publicznych jest pozasejmową; rycerstwo może tylko rewidować swój „Landkasten,“ zawsze zresztą prawie pusty. Etat Rentereikassy wynosi obecnie 20 mil. marek, Landesrezepturkassy cztery miliony z górą.

Rycerstwo, oprócz sejmu prawidłowego i nadzwyczajnych, jakiegoby zechciał zwołać panujący, ma jeszcze swoje „konwenty,“ „dnie konwokacyjne,“ obrady „komisarsko-deputackie,“ wreszcie „rady opiekuńcze“ nad trzema klasztorami (ewangelickiemi): w Dobbertynie, Malchowie i Rybnicach, w których wychowuje dziewice „krajowe“ (*inländisch*) na dobre chrześcianki. Do r. 1820 miało rycerstwo nieograniczoną władzę i prawo ekonomiczne nad ludem; tylko *jus vitae necisque* od traktatu westfalskiego nie było już czynnem. Sądy patrymonialne wraz z karą cielesną zniosła dopiero wydana dla całych Niemiec ogólna organizacya sądowa w r. 1879; wkrótce po niej wprowadzono i powszechny kodeks karny niemiecki. Z rycerstwa odkłada się plazma na wszelkich urzędników ziemskich i krajowych, nie miejskich.

Z rycerstwa wychodzi duchowieństwo, mające najwyższą radę kościelną w Szwerynie, konsystorz i najwyższy sąd duchowny w Rostoku. Obowiązkiem konsystorza i sądu jest ściganie wszelkiej niereligijności.

Po za tą organizacyą stoją tylko dwa miasta nadmorskie: Rostok i Wismar; korzystają one dziś jeszcze z przywilejów hanzeatyckich i posiadają istotny samorząd. Skostnienie życia średniowiecznego w całym kraju—im wyszło na dobre. Rostok rzuca w przestwory meklenburskie oświatę z uniwersytetu, omijanego przez uczonych.

Rycerstwo i miasta i kraj cały używają w spokoju tych ojcowskich urządzeń; powolnie tylko, słabo, nieśmiało rozwija się stronnictwo postępowe. „Narodowi“ było zawsze tak dobrze, iż Bismark nie pomylił się, mówiąc, że konstytucya przyrosła do niego, jak skóra do ciała. Kiedy w październiku 1848 r. obaj wielcy książęta zwołali zgromadzenie konstytucyjne, cofnięcie się W. Ks. Meklenburg-Strelitz — władającego na niespełna 3,000 kilometrów, z czego 1,800 jest prywatną jego własnością — wystarczyło do pogrzebania przekształceń. Uchwalono wprawdzie ustawę z d. 10 października 1849 r. i w lutym 1850 r. zebrał się sejm zreformowany; ale sam Bundestag, odpowiadając powszechnym życzeniom, zdał sprawę na sąd polubowny, a ten d. 11 września t. r. orzekł, że stała się krzywda Meklenburgowi przez nową konstytucyę, którą też wielki książę szweryński w trzy dni później zniósł. W marcu 1851 r. zebrały się na nowo stare stany: rycerstwo odetchnęło, zwłaszcza gdy przywrócono karę cielesną, a swobodę słowa i prawo stowarzyszania się postawiono na dawnej stopie. Po włączeniu Meklenburgii do Związku Północno-Niemieckiego, a następnie do cesarstwa, co lat kilka ponawiano wnioski o obowiązkowe wprowadzenie konstytucyi do wszystkich państw niemieckich. Rada związkowa niemiecka albo je odrzucała, albo też, jak w r. 1875, zaopatrywała w polecające tylko życzenia. Obecnie, kiedy znowu przyszedł na porządek dzienny wniosek Pachnickego, poparty przez Auera i Anckera, sejm niemiecki wyręczył radę związkową. Po rozprawach w d. 5, 6 i 20 lutego odrzucił żądanie konstytucyonalizmu przy powtórnych obradach. Rycerstwo meklenburskie może być o los swój spokojne.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Komisya bezpieczeństwa pomknęła naprzód: z § 129-a zostawiła tylko związki tajemne i spiski, z § 130 wyrzuciła zupełnie „Umsturz,“ z § 131—wszystko. Mówi ta część projektu o przestępstwie przekręcania i zmyślania faktów.

Sejm niemiecki radzi nad nowem opodatkowaniem wyrobów tytoniowych. Więcej teraz ma płacić liść w wyrobie, niż na roślinie; stąd hodowcy się cieszą, obiecując tytunie „echt“ hawańskie — choćby z Brandenburgii, a fabrykanci się smucą. Wyrazem tego smutku jest petycya do sejmu z 74,360 podpisów. Z powodu rozpraw nad budżetem d. 20 b. m. ostro krytykowano ubezpieczenia robotników. skala za wysoka, grozi upadłość, potrzebny ratunek. D. 19 sejm uchwalił przywrócenie jezuitów, a nazajutrz odrzucił wniosek Pachnikego, pośrednio narzucający W. Księztwom Meklenburskim systemat konstytucyjny. Po raz pierwszy od r. 1871 radzie związkowej dostało się napomnienie od prezydującego. Rząd meklenburski miał tego dnia dwóch przedstawicieli w sejmie: Buchkę i Oertsena; w nich-to ugodził p. Levetzow.

Sekretarz stanu do spraw marynarki adm. Hollman d. 22 b. m. zapewnił sejm zaniepokojony wydatkami na budowę floty że do końca wieku nie będzie już nowych żądań, chybaby szło— łodał—o „zastąpienie starych okrętów nowymi.“ Tego „chyba“ nie zbraknie nigdy.

W sejmie pruskim p. Koeller, min. spraw wewn., staje się coraz bardziej zajmującym. Dawniej już zapytany: czy dzienniki czytuje?—odpowiedział, że nie, bo obywa się bez kłamstw; jeszcze d. 6 lutego za obowiązek każdego niemca uznał należenie do towarzystwa popierania niemieckości, które w istocie jest stowarzyszeniem prześladującem wszystko, co nie niemieckie. Teraz, d. 21 lutego, ucieszył się, że policya lekceważy sądy i wbrew wyrokowi najwyższego trybunału administracyjnego, zakazuje przedstawiania *Die Weber* Hauptmana. Gdy Rickert zgromił to nadużycie języka, minister, oparty o junkrów, odcinał się dowcipami sztywnego karku. Opinia jest oburzona. Początek zajmującemu widowisku dał p. Rzepnikowski, skarżąc się na władze w Kwidzynie (Madienwerder), gdzie przecież jest t. z. *Regierung* (regencya), a gdzie jednakże „nie było nikogo, coby mógł ocenzurować sztukę do przedstawienia.“ P. Koeller i tu na wysokich szczudłach chadzając, na poziomie prawdy utrzymać się nie umiał, choć—dzienników nie czytuje. Ostatecznie musiał przyrzec, że wiza poznańska będzie obowiązującą na całe kresy wschodnie. Izba deputowanych radzi teraz nad opłatami stemplowemi.

Cesarz Wilhelm na dorocznym obiedzie brandenburskim d. 23 lutego zaopiekował się włościanami i ich losem; będzie lepiej, tylko nie trzeba się bawić w utopie; każdy stan i warstwa ma równe prawo do opieki królewskiej; wszyscy są dziećmi jednego ojca. Toż samo usłyszał z ust monarchy d. 19 lutego związek rolników, prowadzony przez Ploetza, tylko w surowszych słowach. Cesarz, lubiący podróże, był osobiście d. 26 b. m. w Wiedniu na pogrzebie arcyksięcia Albrechta; zabawił przez dzień następny u swego przyjaciela, hr. Eulenburga, ambasadora. Ten Eulenburg, wspólnie z bratem swoim w końcu października r. z. podstawił nogę Capriviemu.

D. 22 lutego vice-prezes rady ministrów pruskich i sekretarz do spraw zewnętrznych rzeszy, Bötticher, zagaił ogólny wiec handlowy niemiecki prośbą o uwzględnienie potrzeb rolnictwa. Wiec na pierwszem już posiedzeniu potępił wniosek Kardorffa, Mirbacha i Friedberga d. 16 lutego przyjęty do drugiego czytania przez sejm niemiecki.

W Austryi z żałością po zgonie naczelnego wodza, dzielnego istotnie żołnierza, łączą się zapowiedzi nowego urządzenia następstwa tronu: przyszłym cesarzem ma zostać syn arcyksiężniczki Maryi Waleryi i arcyksięcia Franciszka Salwatora. Od 18 zasiada Rada państwa i zajmuje się nowym kodeksem karnym. D. 22 w Izbie deputowanych minister sprawiedliwości, Schönborn, dopominał się zaostrzenia ka-

---

9)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ALRUN.

Widok 10.

W gęstym i cienistym gaju osiadła wioska, której chaty, z liści palmowych i trzciny splecione, wyglądały jak wysokie mrowiska pod rozłożystemi gałęziami drzew. Naokoło obstąpiły ją góry, pośród których najwyższa, jednym bokiem zanurzona w odnodze morskiej, ziajała wiecznie dymami uwięzionego w jej łonie wulkanu. Co chwila wypluwał on ze swej szerokiej gardzieli odłamy skał, które wyrzuciwszy wysoko gniewnym oddechem, połykał znowu spadające mu nazad w paszczę. Nocą na obłoku jego par czerwieniła się łuna ognistego wnętrza. Teraz, gdy ziemia zamroczyła się po odejściu słońca, z wierzchołka góry wystrzelił płomienny kwiat w białawej koronie. Bogobojny, żadnej broni nieposiadający i przez koczowników nienapadany lud Podlotów, który przytulił się do podnóża tej groźnej siedziby bogów i wyrabiał święte ich posążki dla wędrownych gromad, wyległ teraz po skończonej pracy dziennej na odsłoniętą polanę i odmawiał wieczorną modlitwę do wulkanu. Przewodniczył mu w niej sędziwy Ilon, arcykapłan, za którym wszyscy powtarzali.

Ilon.

Chwała wam bogowie, znani i nieznani, siedzący w tej górze i rozproszeni po świecie! Niech wszystkim, niemym i martwym tworom ziemi rozkroją się i otworzą usta, ażeby mogły wysławiać moc waszą. Jeśli zmęczeni całodziennymi rządami, chcecie w odpoczynku pokrzepić swe siły, zejdźcie tu do nas, gdzie na ołtarzach składane są codzień świeże ofiary. Okażcie nam łaskę, duchy dobre, a litość — złe. Strzeżcie nas ciągle od okrutnych ludzi i drapieżnych zwierząt, bo broń naszą złożyliśmy w wasze ręce. Nie opuszczajcie nigdy tych posążków, które wyrabiamy na cześć waszą i dla dobra ludzi, potrzebujących pomocy waszej. Chwała wam, chwała na ziemi i niebie!

Zwrócił się do dużego kamienia, nakrytego dachem, który podtrzymywały cztery wysokie słupy. U spodu tego głazu leżały wiankiem okalające go figurki drewniane, wyrobione w ciągu dnia przez ludność, które przedstawiały różne postacie ludzi i zwierząt.

Wielki duchu, który przebywasz w tym świętym głazie, użycz nam z siebie tyle cząstek, ile u twych stóp złożyliśmy posążków.

Cały lud zaśpiewał chórem:

Kamieniu, kamieniu,
Wszechmogący boże,
Spoć się świętą rosą
I zwilż nią fetysze.

Kamieniu, kamieniu,
Odetchnij głęboko,
I przeniknij wszystkie
Twoją świętą parą.

Kamieniu, kamieniu,
Wstrząśnij boskiem ciałem
I drgnień swej potęgi
Udziel naszym tworom.

Po tej pieśni lud umilkł i długo stał zapatrzony w kamień. Wreszcie Ilon obtarł go płachtą z delikatnego łyka, zawinął w nią posążki i rzekł uroczyście:

Już święte.

Wtedy lud znowu zaśpiewał.

Pozdrowiony bądź, boże
Za twe łaski wielkie,
Kamieniu, kamieniu,
Nie opuszczaj nas.

Ilon.

Zbierzcie posążki i zanieście je z czcią do chat waszych. Może jutro przechodzić będzie jaka gromada, to je wymieni na suszone ryby.

ry za obrazę majestatu; surowo takie przestępstwa karać potrzeba tam, gdzie, jak w Austryi, losy państwa związane są najściślej z losami dynastyi.

Na Węgrzech głód w stronie zachodniej kraju, w tak zwanom „Alföld." Posłowie w sejmie niepokoją się, ministrowie radzą. Stronnictwo „niepodległości z r. 1848" rozpada się: część idzie za Ugronem, część za Justhem.

W Anglii d. 21 lutego Izba gmin 304 głosami przeciwko 105 dała rządowi pancerz bezpieczeństwa od opozycyi, ale nie na długo. Rząd popiera cła indyjskie na wyroby bawełniane angielskie; nieprzyjaciele chcieli go wywrócić kijkiem popularności. Dni gabinetu wszakże mimo zwycięztwa już policzone. Niezgoda wkradła się pomiędzy Harcourta, ministra skarbu, a Roseberye'go, i pogarsza położenie.

W Egipcie Abbas uległ: ustanowił trybunał jakby wojenny z czterech anglików i jednego egipcyanina do karania śmiercią napaści na żołnierzy angielskich. Pod osłoną niebezpieczeństwa anglicy sprowadzają wojsko z Cypru, z Malty. Francuzi uważają tę trwogę za komedyę—i może się nie mylą.

We Francyi d. 23 lutego w Izbie deputowanych rozprawiano o bezrobociu w Roanne. Minister spraw wewnętrznych, Leygues, surowo skarcił posłów socyalistycznych za podżeganie osobiste. Uchwalono prosty porządek dzienny 392 głosami przeciwko 103.

P. Crispi myśli o nadaniu królowi Humbertowi tytułu „Cesarza Erytrei" na wzór angielskiego „Cesarza Indyi." Tymczasem na termin wyborów do sejmu wciąż jeszcze narodowi czekać każe.

BADANIA NAUKOWE.

Samuel Adalberg *Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich.* Warszawa 1894, str. 826 w 8 ce słownikowej. Cena 3 rub.

Droga pomiędzy zapowiedzią a jej uczciwem spełnieniem bywa dla niejednego nieprzebytą. Ale p. Adalberg, mając od lat tylu do czynienia z przysłowiami, musiał jedno z nich złotemi głoskami sobie wypisać: „Obietnica za dług stoi," bo dotrzymał słowa i przyrzekłszy w r. 1888 „Księgę przysłów," obdarza nas obecnie wspaniałym ich zbiorem. Ponieważ wówczas radośnie witałem (w *Prawdzie* 1888 N. 2) arkusz okazowy *Księgi*, niech mi wolno będzie dzisiaj, po siedmiu latach, z większą jeszcze przyjemnością pomówić o dziele już dokonanem, o długu z lichwą spłaconym.

Mamy przed oczami tom olbrzymi, piękny wykończeniem typograficznem, a jeszcze piękniejszy treścią. Rozpoczyna go przypisanie pamięci Kolberga Oskara, najpracowitszego etnografa naszego. Widącej za tem przedmowie (I—XVIII) autor wykłada cel i potrzebę swej pracy; mówi o najdawniejszych zbiorach przysłów naszych, dokonywanych z myślą dydaktyczną (Rysiński i Knapski) i wyświetla różnicę od dążeń dzisiejszych, polegających na interesie czysto naukowym, przeważnie ludoznawczym. Opowiada nam dzieje powstania *Księgi* i dodaje, że nigdyby nie dała się ułożyć, gdyby w Warszawie nie istniał bogaty księgozbiór przysłowiowy p. Ignacego Bernsteina, który chętnie młodemu autorowi pozwalał zeń korzystać.

Przysłowia, zebrane w *Księdze*, płyną z trzech źródeł: z druków (począwszy od najdawniejszych, aż do najświeższych), z rękopisów (również od najstarszych zaczynając) i z ustnego podania, tj. z żywej tradycyi, ze słyszenia. Traktując rzecz naukowo, pan A. przy każdem przysłowiu wskazuje w skróceniu źródło jego; jak licznemi były te źródła, widać z obszerności tabeli skróceń, która zajmuje 64 kolumny drobnego druku, na początku tomu, po przedmowie. Nie opuszcza też odmianek i skrzętnie je notuje, chociażby na pozór były małoznaczącemi: wielka to zasługa, bo, jak słusznie powiada autor, nieraz rzucają one światło na początek przysłowia i okazują dzieje przetwarzania się jego w treści i formie. Odmianki te p. A. podaje w postaci oryginalnej, więc w danym razie w gwarze, zachowując wiernie jej znamiona. Przysłowia treści „nieparlamentarnej" bardzo słusznie usunięte są z *Księgi*; szanowny autor dobrzeby zrobił, wydając je oddzielnie, dla użytku „nie-delfinów." Cały tom zawiera (licząc z odmiankami) około 40,000, wyraźnie czterdziestu tysięcy przysłów!

Układ ich jest bardzo dobry. Pan A. w przedmowie rozwodzi się obszernie o metodzie szeregowania: rozważa różne drogi, które mógł obrać i z zupełną świadomością wybiera z nich jedną, łagodząc trudności przeprowadzenia jednolitego systemu pewnemi praktycznemi ustępstwami. Nie będę tu wchodził w szczegóły, bo przedstawiłem je w *Prawdzie* w 1888. Pisałem wówczas o dwóch sposobach zaradzenia trudności, jeżeli w przysłowiu znajduje się więcej nad jeden wyrazów charakterystycznych (według których pan A. układa przysłowia): albo numerując przysłowia i numerami do nich przy każdym przysłowiu odsyłając, albo dodając na końcu spis wyrazów znamiennych, ze wskazaniem numerami, w których przysłowiach one się znajdują. „Nie wiem, mówiłem, jaką drogę obierze sobie autor w przyszłości; pierwsza, choć technicznie trudniejsza, dogodniejsząby była, zdaniem mojem, dla czytelników." Jestem i obecnie tegoż mniemania i wolałbym odsyłacze przy każdem przysłowiu, niż skorowidz; ale to sprawa podrzędna, nie psująca wybornego naogół układu p. Adalberga i jeżeli o niej wspominam, to tylko dla tego, że może w przyszłem wydaniu *Księgi* uwaga moja przyda się na coś.

Przyszłe to wydanie nastąpi niezawodnie i to, sądzę, niedługo. Znakomita *Księga* rozejdzie się prędko: przystępna jej cena zachęci nabywców, a ci znajdą się w znacznej liczbie i za granicą, bo gromadzenie przysłów we wszystkich językach jest obecnie na porządku dziennym uczonych i bibliomanów świata ucywilizowanego. Sam wreszcie autor wyznaje, że dziełem swojem położył dopiero podwalinę kodeksu przysłów naszych. Śmiało twierdzić można, że jest ich u ludu naszego nie czterdzieści, ale daleko więcej tysięcy: przekonywają o tem cyfry przysłów u innych narodów: Wander zebrał niemieckich przeszło dwakroćstotysięcy!

Na zakończenie posłuchajmy, co sam autor o dziele swojem mówi: „Czy praca niniejsza jest kompletną, bez błędów i źródłowe studya nad przysłowiami wyczerpującą? Daleki jestem od tych myśli, a najdalej od ostatniej. Nie ulega wątpliwości, że mimo tak długiej pracy i szperań najusilniejszych, *Księga* nie jest kompletną, a mniej jeszcze wolną od błędów, omyłek, opuszczeń rzeczy mniej lub więcej ważnych... Pracą niniejszą chciałem zbudować nie dom cały i skończony, bo to przechodzi siły jednostki, ale trwałe i pewne, bo na fundamencie oparte rusztowanie, którehy przyczynić się mogło do zbudowania nauki przysłowioznawczej u nas i sprowadzenia jej z torów dyletanckich na

---

Jeden z obecnych.

Jakieś dwa cienie ludzkie biegną ku nam drogą zachodnią. Widzicie? Ot tam, jeszcze bardziej popędzają nogi... już są na ostatnim zakręcie.

Głosy.

Tak, tak.

Ilon.

Ach, to przecie wracają nasi z wędrówki... Coś niosą, czy też wyprzedali wszystkie posążki.

Spiesznym krokiem zbliżyli się dwaj młodzi ludzie, objuczeni tłomokami, jak paramłodych wielbłądów. Widocznie wytężali resztki sił, ażeby zdążyć co prędzej.

Głosy.

Jak się macie, chłopcy, Bóbr, Kos, jak się macie!

Bóbr.

Tylko żywi.

Kos.

Myślałem, że już mi w zgięciach nóg kości się zapalą od tarcia.

Zrzucili tłomoki.

Ilon.

Czemuż tak szybko biegliście? Trzeba było gdzieś na noc zapaść i odpocząć.

Kos

Och, z pewnością nie lecielibyśmy po to, ażeby wam dziś koniecznie wysypać z worka to, co dostaliśmy za fatysze, ale nas gnał strach.

Głosy.

Jaki?

Ilon.

Co się stało?

Kos.

Wstąpiliśmy do plemienia Kędzierzawych, pół dnia drogi stąd, bo nam powiedziano, że wybierając się na wojnę, potrzebują rzeczy świętych. Ponieważ widzieli w okolicy obcych ludzi zbrojnych, więc wysłali kilku swoich na tropy. Ci wkrótce przybiegli przerażeni i donieśli im o okropnem zdarzeniu. Stanąwszy u stóp tej oto naszej góry, buchającej ogniem, spostrzegli, że ku jej wierzchołkowi posuwają się jacyś przyczajeni wojownicy, którzy długo osłaniali się krzewinami; skoro tylko wszakże wypełzli na ścianę nagą i równą, u szczytu góry, jak gdyby z jej dymiącej czeluści wyskoczył, ukazał się bóg w pięknej postaci ludzkiej. Porwał on parę odłamów skały i rzucił na wspinających się, z których dwu zaraz padło śmiertelnie ugodzonych. Następnie zaczął spychać ogromne bryły, które staczając się na dół we wściekłych podskokach, miażdżyły idących. Zginęli wszyscy, jeden zdołał uniknąć tych pocisków rozgniewanego boga i umknął.

Głosy.

A nikczemni! Zbrodniarze! Odechce im się walczyć z bogami!

Kos.

Otóż właśnie że nie — i to nas głównie tu przygnało. Kędzierzawi dowiedzieli się, że ludzie, zmiażdżeni ręką boga, byli wysłańcami strasznego Alruna, wodza Ostrowidzów, który kazał im pochwycić zbiegłą z gromady kobietę i jej kochanka, a oni, przez złego ducha na fałszywe ślady wprowadzeni, myśleli, że owa poszukiwana para skryła się u wylotu tej świętej góry. Więc usiłowali wejść na jej szczyt, za co ich któryś z bogów śmiercią pokarał. Gdy tę wiadomość zaniósł wodzowi ocalony wojownik, wściekły Alrun wyruszył podobno z całym obozem i idzie tu oblegać górę. Strach pomyśleć, co to będzie! Bogowie dadzą sobie z napastnikiem radę, ale czy uniesioni gniewem nie zabiją wraz z nimi innych ludzi? Czy, gdy zaczną miotać strzałami i wyleją z wnętrza góry lawę, nie zniszczą i nas?

Głosy.

Ach, my nieszczęśliwi. Co robić?

Ilon.

Nie obrażajcie bogów dziecinną trwogą. Bywają oni w złości zapalczywi i wraz z winnymi karzą niewinnych, ale tylko wtedy, gdy się pomylą i nie są przedtem

ściśle naukowe. Wyczerpanie krążących jeszcze wśród ludu, a więc najcenniejszych przysłów, odgrzebanie już zapomnianych z pisarzy staropolskich, dawnych rękopisów, wokabularzy, gramatyk, wreszcie z ukazujących się wciąż przedruków dzieł nieznanych, winno być najbliższem zadaniem tego, kto obecnie pracą przysłowioznawczą się zajmie."

Zastosujmy się do programu tego, który nam autor *Księgi* kreśli. Pracujmy wszyscy nad wykończeniem gmachu, którego podwaliny on tak umiejętnie, pracowicie i pomyślnie ułożył. Stokroć łatwiej jest dopełniać zbiory, niż je rozpoczynać. Niech każdy dobrej woli czytelnik *Księgi* szuka w niej znanego sobie przysłowia, a jeżeli się okaże, że go w niej niema, albo że wciągnięto jest inaczej, niech je sobie zapisze, a gdy się jaka taka wiązanka zgromadzi, niech ją wydrukuje. Każde czasopismo chętnie przyjmie to pokłosie. *Wisła* otwiera na nowo poszukiwanie przysłów i gościnnie każdy przyczynek powita. Po latach kilku, może dziesięciu, autor nasz wcieli wszystkie nabytki do skarbca swojego i obdarzy nas jeszcze bogatszym pomnikiem „filozofii ludowej."

Bo toż ta *Księga* to naprawdę dzieło pomnikowe: nie waham się użyć tu tego ciężkiej wagi wyrazu. Czuliśmy i uświadomiliśmy to już sobie przed kilku laty. Działo się to w Krakowie, na zjeździe przyrodników i lekarzy r. 1891; zawiązała się przy nim sekcya antropologiczna, obejmująca i ludoznawstwo. O jej składzie i czynnościach zdawano sprawę wówczas w specyalnym organie; nie wiem, dlaczego pominięto tam wzmiankę o następnym fakcie: Dnia 18 lipca przewodniczył nam profesor J. Przyborowski, zastępując nieobecnego profesora J. Majera. Było nas kilkunastu, a w tej liczbie młodziutki S. Adalberg, który złożył na stole prezydyalnym kilkadziesiąt odbitych już arkuszy *Księgi przysłów*. Po obejrzeniu i przejrzeniu jej, szanowny przewodniczący powiedział kilka słów serdecznego uznania dla jej autora i wniósł, abyśmy przez powstanie wyrazili mu wdzięczność naszą i uznanie wielkiej pracy, co chętnie zostało spełnionem.

Niechże się raz jeszcze powtórzy wyraz tych uczuć dla p. Adalberga: cześć mu, bo dobrze się zasłużył społeczeństwu naszemu.

Jan Karłowicz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Teodor Jeske-Choiński: *Bez wyboru*—opowieści jakich wiele. *Majaki.*

Chociaż p. T. J. Choiński uchodzi za krytyka, posiada mało zmysłu krytycznego, bo inaczej nie oglądalibyśmy w druku jego „opowieści jakich wiele." I nie dziw. Nie jest on krytykiem z łaski artyzmu swego, ale publicystą, który walczy za swoje poglądy, pisząc feljetony o naszym ruchu beletrystycznym. Forma to łatwa i niewymuszona, dostarcza dobrej okazyi docięcia komuś lub czemuś bez wyczerpania kwestyi, wymaga nie tyle dowcipu ile werwy, nie potrzebuje głębokości, ale rozmachu. Animusz ocala większe utwory p. T. J. Choińskiego, ale w drobnych za ciasno dla rozpędu publicystycznego. Brak tej jedynej zalety sprawia, że „opowieści jakich wiele," to ckliwo-nudne obrazki, dobre dla kalendarzy. Wogóle nowela stanowi najtrudniejszą bodaj formę twórczości artystycznej: trzeba być nielada mistrzem, ażeby skupić w tych drobiazgach całą siłę piękna i prawdy. Sytuacya niewłaściwa, pospolitość pomysłu, nienaturalność, mszczą się na autorze, bo odrazu zamiast pieścidełka dają ordynarną ramotę. To też *Bez wyboru* są, że wyrazimy się delikatnie, zbiorem karykatur. „Romans bez słów"—on i ona, żonaty mężczyzna i kobieta zamężna, spotykają się na wodach. On ją karmi perorami na temat swojej pogardy dla cywilizacyi kupiecko-mieszczańskiej i pozuje na towarzysza z pod znaku pancernego, ona wzamian darzy go głębszem uczuciem. Upamiętali się w ostatniej chwili, że nie mają prawa targać szczęścia osób, z któremi kiedyś losy swoje związali, uciekają więc od siebie. „Powracająca fala"—syn, 18-letni wyrostek, tęskni według wzorów świata próżniaczego tj. topi swój smutek na szezlongu i przygląda się bezczynnie strzępom nieba. Zakochał się w sprytnej gąsce, zarzucającej zawczasu wędkę na niewolnika, któryby na nią pracował. Wyjaśnienie pomiędzy ojcem a synem, potem wzajemna oziębłość przedstawicieli tych dwu pokoleń, aż wreszcie stary przypomniał sobie, że ongi tak samo był postąpił. Szare to, bezbarne i banalne, bez promyczka artyzmu, któryby z niepokaźnych listków wydobył kwiat uroczy. Pretensya do tężyzny nie ratuje opowieści. Nowele te przypominają mi kozaków z drzewa, pomalowanych pospolitemi farbami i przeznaczonych za Żelazną bramą dla dziatwy niewybrednej. „Z miłości" jest o wiele lepszą: brak artyzmu zasłania idea; jest zaś możliwą, bo rozmiary utworu są większe i co razi nas w drobiazgu, rozprasza się tam na wielu stronicach.

Są rzeczy, na które może dzisiaj ważyć się tylko wielki talent. Zdrowa ambicya, skoro dojrzy, że nie posiada sił należytych, omija rozsądnie takie niewdzięczne tematy. Tylu artystów tknęło się Rzymu, że zaiste trzeba niezwykłej oryginalności, ażeby na tem tle coś nowego namalować. Wstęp do opisu staradawnego grodu, jest swego rodzaju „arcydziełem": „Pociąg kuryerski pędzi z takim rozmachem, z taką szaloną szybkością przebiega tunele, mosty, góry i doły, iż zdaje się, że się co chwila rozleci na strzępy." Arcydzieło to—ale nie wyobraźni artystycznej. Brawura bez poczucia prawdy, bez fantastyczności poetycznej!

Majaki są bez porównania utworem udatniejszym. Wogóle grzechy beletrystyczne p. T. J. Choińskiego posiadają tem mniej brzydoty, im są większe. Bynajmniej nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby tam świecił artyzm. O, nie, tego daru nie znajdziemy! Ale autor miał sporo miejsca i tem samem zdołał dać folgę swojemu temperamentowi publicystycznemu. Niewybredni będą czytać ten utwór nawet z zainteresowaniem. Naprzód jest tam pewna fabuła, powtóre autor, przyprawiwszy szczudła swoim bohaterom, nie umie na stałe utrzymać ich na danej wysokości i zsadza na ziemię, co wychodzi im tylko na dobre. Powieść to nawskroś tendencyjna. P. T. J. Choiński uchwycił zwrot najświeższy w światku naszej inteligencyi: nowinkę spirytystyczną i nie omieszkał wyzyskać nadarzającej się gratki. Majaki, to epopeja w stylu operetkowym — epopeja ze względu na walkę wewnętrzną u osób działających, operetka zaś w wykonaniu. Zarazem to dalszy ciąg poprzednich powieści publicysty zachowawczego. Wszystkie zaś one odbywają się na tle tem samem. Grono mło-

---

powiadomieni za pomocą modlitwy. Nas znają, przed chwilą zanieśliśmy do nich błagania, zresztą możemy jeszcze do nich się odezwać i złożyć im świeże ofiary, a nadewszystko polecić się opiece naszego patrona.

Chór.

Zapomnij nam grzechy,
Zapamiętaj cnoty
Kamieniu, kamieniu,
Nie opuszczaj nas.

Ilon.

Patrzcie — bóg schodzi.

Głosy.

— Prawda!
— Jaki straszny!
— Jaki piękny!
— Idzie do nas.
— Coś niesie.

Widok 11.

Od wierzchołka góry, jej ścianą, ku modlącym się zwróconą, na której z łuną wulkanu łamało się światło księżyca, schodził ostrożnym krokiem mężczyzna. Niósł on w ręku, przytulając do piersi koszyk, upleciony z cienkich korzonków. W środku góry, na skalistym wyskoku, stanął, oblany jasnością blasków nocy, jak gdyby chciał być widzialny dla ludu, stojącego na dole, potem spiesznie zsuwał się coraz niżej aż do wysokiego „drzewa uczciwości," na którem Podlotowie zawieszali znalezione przedmioty. U jednej z gałęzi przyczepił koszyk, spoglądał weń przez chwilę i oddalił się z powrotem. Kilka razy przystawał, odwracał się, wreszcie zniknął śród garbów szczytu góry.

Ilon.

Bóg coś dla nas zawiesił na drzewie. Trzeba dar jego zdjąć zaraz. Dwaj chłopcy pójdą tam ze mną. Zapalcie pęczki chrustu, ażeby ogień odstraszył złe duchy i oświecił nam drogę. Nie może on jednak być wzięty z tlejących i pokalanych węgli przy chatach, lecz musi być wydobyty z drewien — świeży, czysty, żadnym użytkiem niesplamiony.

Dwaj młodzieńcy zaczęli trzeć gwałtownie wałki drewniane, z których po chwili rozszedł się dym, a następnie błysnął ogień. Zapalili dwie wiązki chrustu, kilka wzięli na zapas i poprowadzili Ilona ku „drzewu uczciwości." Lud pozostał na miejscu i wytężonym wzrokiem śledził idących. W blasku pochodni widać było już tylko zdala siwą głowę Ilona i czarne jego towarzyszów. Coraz bardziej zanurzali się w wysokie trawy, niknęli za krzakami, pozostawiając jedynie jasną plamę na ciemno-srebrzystem tle nocy, w końcu stanęli przy drzewie.

Głosy.

— Co to być może?
— Ilon dotknął.
— Zdejmuje, ogląda.
— Wracają.
— A skąd wiadomo, że bóg chciał, ażeby to Ilon zabrał?
— On przecie wolę bogów rozumie.
— Jeżeli się pomylił...
— Mściwy bóg odetkałby górę i wylał na nas potok żaru.
— Za co na nas? Chyba tylko na kapłana, bo my niewinni.
— Już są niedaleko. Czy widzicie, co Ilon niesie?
— Pochodnie przygasają, nie można dostrzedz.
— Trzyma w ręku koszyk.
— Tak, koszyk i to dosyć ciężki.
— Nic z niego nie wygląda.
— Jednak nie pusty... Ilon z wysiłkiem go dźwiga.
— Co to jest?

Ilon, oświetlony słabo pełkającemi pochodniami, zbliżył się do gromady, niecierpliwej w oczekiwaniu.

— Ilonie, co nam przynosisz?

Ilon.

Dwoje dzieci.

Głosy.

— Dzieci?!

Lud otoczył kapłana i trwożliwie spoglądał w koszyk, w którym spało dwoje niemowląt.

dzienców skończyło studya w Niemczech i przynosi do kraju nieprzewarzoną jeszcze wiedzę. Wrogowie nieuchwytnych rojeń i tęsknot, nazywający niemądrymi majakami wszystko, co nie da się zważyć, obliczyć i powąchać, zaczynają szerzyć w ojczyźnie etykę niezależną. Po latach, kiedy walka starga siły, kiedy prawdy naukowe z czasów młodości będą nadwątlone — „padną w proch pod obuchem nowych badań"; tak brzmi to w stylu publicysty-powieściopisarza—i sceptycyzm podkopie dawną wiarę,ci bohaterzy zaczynają męczyć się w kółku wiedzy niezawisłej i tracą chęć do pracy. Majaki powracają z tęsknotą do czegoś, co się zmierzyć i zważyć, ocenić i kupić nie da. Oto ulubiony wątek p. T. J. Choińskiego, przelewany coraz do innych powieści. Fabuła za każdym razem jest odmienną, ale rdzeń zawsze jednaki. Po drodze zaś snucie opowieści dostaje się wszystkiemu, co nie przypada do kramiku monitora bockowskiego. Nie chcemy rzec przez to, żeby autor bronił takiej brzydkiej rzeczy — mamy na myśli jedynie atmosferę, której ów monitor był widocznem a dorażnem godłem. I w nowym utworze mnóstwo więc ubocznych wycieczek. Dostało się też feministkom. Zaprawdę, na te osoby od pewnego czasu wali się mnóstwo niezasłużonych zarzutów. Niegdyś wystąpiłem przeciwko nim, dzisiaj żałuję, że znalazłem się w liczbie naganiaczy, zajętych obławą. Nie cofam swoich zarzutów, ale trudno mi nie widzieć, że krzątanina feministek przynosi przecież pewien pożytek, ani nie mogę nie uszanować wielu uczuć tego nielicznego grona. Tymczasem weszło w modę wykpiwać je może dlatego, że nie tyle, co ich bracia, sympatyzują z błotem i niekiedy umieją przyciąć języka domorosłym filozofom i kandydatom na pokątnych mężów stanu. Wracamy jednak do p. T. J. Choińskiego. Jakeśmy dali do zrozumienia, fabuła *Majaków* jest ułożona według zwykłej recepty. Są pozytywiści różni: jedni uchwycili hasło etyki niezależnej, ażeby w nauce znaleźć wymówkę dla swoich instynktów poziomych, inni — wierzący i pragnący dobra publicznego. Ostatnich jest tylko nieliczna garstka. Ponieważ są uczciwymi i pozytywizm stanowi jedynie rdzę powierzchowną, przeto muszą kiedyś zatęsknić do majaków i rzucić się na manowce, poszukując prawdy wznioślejszej. Ale nie każdy z nich trafi na dobrą drogę. O, nie! Trzeba na to posiadać krew ziemiańską w swoich żyłach i bodaj że odziedziczyć wioskę, inni zaś będą nadaremnie błąkali się, zostaną kabalistami, spirytystami, ale nie wydobędą się z matni. To kanwa! Nieco miłości, sporo rozmaitych intryg, kilka nazwisk i na tej kanwie powstaje rysunek. W obecnym wypadku wygląda on jak następuje: Jest mama Ostrobudzka, córka wzbogaconego kauzyperdy, która wyszedłszy za poczciwego ziemianina, wnosi do dworku wiejskiego zarazę pozytywną i po śmierci męża udaje się z córką Zofią na uniwersytet zuryski. Jest Słotnicki, pozytywista z pod znaku poczciwego, który otrzymawszy po stryju wioskę, odpoczywa po harcach dziennikarskich, duma nad znikomością nauki i grzęźnie w mistycyzmie; jest kolega jego, dziennikarz Żachliński, nikczemny materyalista w duchu etyki niezależnej, dla którego użycie jest jedynym celem na ziemi. Występuje wreszcie stary Ostrobudzki, stryj Zofii, ziemianin, niby gbur i nieuk, ale w gruncie rzeczy mądrzejszy, niż pozytywiści, szlachetny i uczynny. Mama z córką, odbywszy studya, wracają na wieś i tam zapoznają się ze Słotnickim, którego oddawna poważają jako siłę wojującą obozu pozytywnego. Panienka popisuje się ze swoją nauką i rozprawia o wolnej miłości. (P. T. J. Choiński na oczy swoje nie widział polskiej studentki, która mimo medycyny i włosów ostrzyżonych pozostaje przyzwoitą panienką i przyznaje tylko stosunek, uświęcony u ołtarza...) Ale Słotnicki drwi teraz z pozytywizmów i przędzie kądziel spirytystyczną, panna z przekąsem przyjmuje nową naukę, ale właśnie dlatego zakochała się w dziwaku. Bohater jednak nie baczy na to uczucie szczere, zajmują go medya. Intrygant Żachliński umie go obecrnić i już ma poślubić majątek Zosi i jej osobę, kiedy stryj wszystko naprawia. Rzecz kończy się jak najlepiej. Zosia pada w objęcia Słotnickiego. Nie ulega wątpliwości, że pójdą po drodze pradziadów: wezmą rozbrat z pozytywizmem, jeść będą i miód pić, płodzić szlachciców i szlachcianki, w niedzielę zajeżdżać powozem pod parafię i prenumerować — temu dajmy pokój...

Ale p. T. J. Choiński niefortunny jako artysta, wynagradza nas niekiedy jako publicysta. Wyprowadza na widok światek dziennikarski i umie przewybornie scharakteryzować sprężyny, jakie tam w głębi elektryzują naszych wydawców. Wprawdzie i tutaj przeważa szarża z karykaturą, których nigdy p. T. J. Choiński pozbyć się nie może, ale pewne sylwetki i ich otoczenie pozwalają zajrzeć czytelnikowi w głąb naszych fabryk, zwanych redakcyami.



NOWE KSIĄŻKI.

Edmund Libański, inż. *Technika wobec kwestyj społecznych.*

Profesor Emanuel Herrmann wywarł wpływ znaczny na koła techników, skłaniając ich do zajęcia się dziejami rozwoju społecznego ze stanowiska techniki. Kiedyś już podnosiliśmy doniosłość takiego punktu widzenia i uczyniliśmy uwagę, że pojmowanie dobre istoty techniki jest pożyteczniejsze dla socyologa, aniżeli zaopatrzenie się w różne założenia biologiczne. Rzecz to prosta i zrozumiała, bo społeczeństwo ludzkie, zwłaszcza cywilizowane, jest przedewszystkiem mechanizmem, powołanym do życia przez technikę: stosunki rodzinne, forma rządu i własności i inne instytucye przybierają każdorazowo postać, nakazywaną im przez sposób zdobywania środków utrzymania. Odczyt p. Libańskiego, wydany obecnie w osobnej odbitce, jest w gruncie rzeczy popularyzacyą idei Herrmana. Autor, zgodnie z tym badaczem, przyjmuje, że „pierwszym działaczem, istotną osią przeobrażenia form życia społecznego, zacząwszy od odległej starożytności po dzisiejsze czasy, jest i będzie technika, obejmująca cały obszar w dziedzinie produkcyi rolnej, przemysłowej, technologię, budownictwo, inżenieryę w najobszerniejszem znaczeniu." Postęp ludzkości, jej cywilizowanie się, to tylko coraz dalej idąca emancypacya człowieka od nieuniknionych wpływów sił przyrody. Technika, rozwijając cały ogrom swej nieprzepartej potęgi, stwarza w ciągu wieków coraz nowe formy życia społecznego. P. Lubański rozpatruje to oddziaływanie dziejowe i w paru zdaniach streszcza w tej mierze wywody uczonego technika niemieckiego. Później przechodzi do chwili obecnej. Odczyt swój kończy między innemi następującą a słuszną uwagą: „Zrozumienie właściwej istoty techniki powinno być udziałem każdego inteligentnego człowieka, gdyż sfera jej skupić ma najintenzywniejszą i najważniejszą działalność ludzką; ona stać się ma wszechstronną siłą społeczną i władzą, kształtującą państwa i społeczeństwa."

J. Strzemeska i M. Weryho. *Wychowanie przedszkolne.* Warszawa.

Wymieniona książka jest właściwie podręcznikiem, przeznaczonym dla tych, którzyby chcie-

---

— Dobrze karmione, tłuste, rumiane.
— Bogom przecie nie brak mleka.
— Czy to są boskie, czy ludzkie?
— Chyba boskie, ludzkie nie byłyby tak piękne.

Ilon.

Wszystko jedno. W każdym razie bóg je przyniósł, więc muszą mu być drogie i nam powierzył, więc powinniśmy je wychować. Zapewne w nich ukryły się jakieś duchy, które nas w nagrodę za staranność strzedz będą. Niech dwie zdrowe kobiety, które niedawno urodziły, wezmą te dzieci i karmią swemi piersiami, a my wszyscy otoczymy je najtroskliwszą opieką. Taka się odzywa we mnie wola boża, za którą podziękujmy.

Lud zaśpiewał:

Pozdrowiony bądź, boże,
Za twe łaski wielkie.
Kamieniu, kamieniu
Nie opuszczaj nas.

Ilon wziął kosz z dziećmi i wraz z całą gromadą wrócił do wsi.

Widok 12.

Gdy gromada Podlotow odeszła do swych chat i pogasiwszy ognie, złożyła swe dusze na skrzydła snu, który z niemi odleciał w krainę marzeń, z ognistej góry zszedł ten sam mężczyzna, prowadząc za rękę kobietę, która stąpała obok niego z pochyloną głową. Noc zarzuciła na nich lekkie szaty mroku, przetkane niemi księżycowego srebra. Doszli, milcząc, aż do „drzewa uczciwości," przy którem stanęli.

Ona.

Nie ma, już nie ma... Źrenice moje, z których one się wysunęły, są tak puste, jak obrączki, a tak się rozwierają, że niczego zatrzymać nie mogą. Nic nie widzę, oślepłam.

On.

Uspokój się, roso ty moja... To lud dobry, bogobojny, on ich nie skrzywdzi i od wrogów zasłoni.

Ona.

Ach, co mi się znowu zdaje.. Naokoło ogród pełen kwiatów, z których w niezliczonej ilości wychylają się uśmiechnięte główki... Znikają... ukazują się i znikają... Słyszysz płacz ich, tam, na dole?.. Tak, to one się skarżą, mnie wołają... One!

On.

Nie. Nawet żaden głos ludzki po ciszy nie biega. Życz im dobrze i nie żałuj bezpiecznego schronienia, nie ścigaj ich swoją tęsknotą, bo z niej wyleci rój owadów i pokąsa je.

Ona.

Już jestem spokojna — idźmy. Ale ja do nich kiedyś zakradnę się, zobaczę, czy się śmieją... Prawda?

On.

Odbierzemy je... A teraz spieszmy się, dopóki oślepiono nocą niebo nas nie widzi i nie otworzy słonecznego oka.

Ona.

Żyjcie zdrowe, moje maleńkie.

Upadła na ziemię i przycisnęła się do niej wzruszona.

Ziemio, matko najlepsza, jedyna, która nie odtrącasz żadnego ze swych dzieci, jedyna, która karmisz żywe i w łono swoje przyjmujesz umarłe, bądź czułą matką dla nas, bo jesteśmy bardzo nieszczęśliwi. Czyhają na nas zwierzęta, ścigają ludzie, nie osłaniają bogowie — ty tylko nas nie opuściłaś i nie prześladujesz. Ziemio, dobra ziemio, ratuj nas. Och, wysłuchaj mojego błagania!

Wstała mdlejąca i zapłakana.

On.

Kobieto moja, kobieto kochana, chodźmy, bo już księżyc ucieka przed słońcem.

Ona.

Idę, idę...

Zniknęli, jak dwa lotne cienie.

(D. c. n.)

li zapoznać się z zasadami nauki froeblowskiej. Znajdujemy tam więc biografię Froebla, jego teoryę systemu wychowawczego, później mamy wskazówki, w jaki sposób należy rozwijać dziecko, kiedy i jak je bawić piłką, sześciankami itd. Kolejno idą wskazówki praktyczne co do modelowania, mozaiki, składania papieru, wycinania i wyplatania, wyszywania i robót innych, których nie będziemy wymieniali. Podano parę gier i korowodów, przytoczono kilka wzorów pogawędek, rzucono ogólne zasady nauki śpiewu itd. Słowem, książka jest trzymana w duchu nawskroś praktycznym. Naturalnie, w naszej ubogiej literaturze możemy mówić o wartości podobnego dzieła tylko ze stanowiska względnego, tj. jak się ono przedstawia odpowiednio do naszych potrzeb i, co także—należy wziąć pod uwagę, ze stanowiska posiadanych środków wydawniczych. Otóż, wychodząc z takiego punktu widzenia, musimy nadmienić, że autorki pracą swoją zapełniły lukę, która dotkliwie dawała się odczuwać w naszem piśmiennictwie. Książkę ich musimy przyjąć uprzejmie, jako pierwszą poważną próbę w tym rodzaju i nawet, gdyby posiadała wady jakieś, mimo to podziękować. Bo co do wartości bezwzględnej, sąd nasz wypadłby może odmiennie. Froeblowszczyzna zrobiła duże postępy, nawet pod ręką przemyślną a energiczną amerykanów zrodził się w niej znaczny przewrót. Autorki zaś poprzestały jedynie na wzorach niemieckich. Przeważa więc w ich książce żywioł „biernego" przyjmowania przez dziecko wrażeń i pojęć, podsuwanych przez nauczyciela, względnie rodziców. Froebel miał sporo w sobie natury mola gabinetowego i poniekąd froeblowszczyzna europejska produkuje od dzieciństwa takich rozwiniętych, napełnionych erudycyą, ale mało samodzielnych molików.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— *Kieszonkowa encyklopedya powszechna ilustrowana.* Książeczka ta (wydana nakładem *Wieku*) nie jest właściwą encyklopedyą, lecz zbiorem najrozmaitszych wiadomości, które ukształconego człowieka zajmować mogą. Oryginał angielski uzupełniono materyałem swojskim.

— J. Verne, *Przygody na okręcie Chancellor* (nakład Guranowskiego). Właściwym sobie sposobem, polegającym na rzucaniu bohaterów w odmęt wypadków nadzwyczajnych, autor opowiada losy podróżujących na okręcie, na którym zapaliła się bawełna i który następnie zatonął.

— *Dzieje powszechne ilustrowane* (nakład Bondego), zeszyty 13—15. Obrazki są ciągle ładne i pouczające.

— *Arcydzieł Szekspira* (wydanie lwowskie) wyszły zeszyty 21—24.

— *Encyklopedyi rolniczej* (Muzeum przemysłu i rolnictwa) wydano zeszyt 42, zawierający artykuły od *Jęczmień* do *Karczowanie.*

— Wł. Natanson, *Początkowa nauka fizyki* ze 140 rysunkami. Powaga autora w literaturze tego przedmiotu poręcza dostatecznie wartość obecnej książeczki (str. 122).

— P. v. Reussner wydał drugi zeszyt swego *Samouczka* polsko-francuskiego.

— P. Fr. Nowodworski, adwokat, ogłosił w osobnym zbiorze (str. 364) *Nowe prawo o lichwie,* u nas obowiązujące — wykład dogmatyczno-krytyczny i porównawczy.

— Dr. J. Szenhak przetłomaczył pracę C. Lombrosa i G. Ferraro *Kobieta jako prostytutka.* Studyum to — znane ze sprawozdania czytelnikom *Prawdy* — autorowie poprzedzili biologią i psychologią kobiety normalnej. Przekładu wydano dotąd dwa zeszyty.

— We Lwowie zaczęło wychodzić nowe pismo p. t. *Gazeta mleczarska.*

— Pozbawiona dotychczas wstępu do Rosyi gazeta *Koeln. Volks-Ztg.* (organ centrum katolickiego), otrzymała na nowo debit w Petersburgu, Moskwie, Rydze, Warszawie, Kijowie i Odesie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z ANGLII I O ANGLII.

I.

Skutki dawnej demagogii o tanich rządach. — Rady hrabstw. — Londyńska rada i jej działalność.—Kształcące znaczenie samorządu angielskiego.

Obecnemu pokoleniu stronnictwa postępowego demagogia przeszłości daje się we znaki. Tyle mówiono i pisano o „taniości rządów liberalnych," że wyborcy odrzucają dziś w imię dawnych zasad wszelkie usiłowania lepszego steru wielkich zbiorowisk ludzkich. Odbyto w roku zeszłym wybory do pomniejszych ciał samorządu, wykazały ten dziwny strach, jaki ludność objawia z powodu każdego nowego szylinga w opodatkowaniu. A strach ten ma tak wielkie oczy, iż stronnictwo postępowe, posiadające obecnie w „radzie hrabstwa" Londynu olbrzymią większość, przystępuje do walki wyborczej (którą dzień 2 marca ma rozstrzygnąć) zatrwożone, pełne obawy względem jutra. Powstrzymano nawet wiele niezbędnych reform, zawieszono wykonanie kilku pożądanych ulepszeń, byle nie wywołać sarkania londyńczyków na „duże wydatki." Charakterystycznym jest fakt, że najwięcej krzyczą ci, którzy wcale podatków nie płacą. Na zgromadzeniach publicznych ciężkie westchnienia z piersi „bosaków," którzy nigdy może nie widzieli awizacyi podatkowej, wtórują jękom kilku filistrów, obliczających, że w przeciągu ostatniego trzechlecia „rada hrabstwa" podwyższyła podatki *o kilka szylingów.* Nie przeszkadza to temu samemu tłumowi za chwilę później wpaść w histeryę zachwytu, gdy któryś mówca wyliczy setki milionów, uchwalonych przez rząd liberalny na budowę nowych pancerników, kanonierek itp. ostatnich słów współczesnego postępu. Jak pogodzić te westchnienia wskutek nowego szylinga w zarządzie stolicy z zapałem z powodu wydanych milionów i miliardów na marynarkę? Otóż popierwsze nawet naiwni synowie Albionu wiedzą o tem, że to kanonierki, te torpedy dadzą Brytanii więcej bogactw z afrykańskich lub azyatyckich rabunków, niż wynosi kapitał, zatracony na marynarkę; mniejsza o to, kto te bogactwa posiędzie. Powtóre, ogólna idea państwa w jej zewnętrznem sformułowaniu silnie tkwi w umysłach brytańczyków, natomiast zatarły się w nich pojęcia państwa, jako wewnętrznego organizatora z chwilą, gdy czynności jego uzależniono od „taniej ceny," tak samo, jak tkaniny z Lancashire lub wyroby stalowe z Sheffield. I jak w przemyśle angielskim wszystko uległo „fuszerce," stosując się do wskazówek gospodarki manchesterskiej, z wyjątkiem może olbrzymich warsztatów maszyn, tak samo i w świadomości politycznej narodu wszelkie pojęcia o współżyciu obywatelskiem zwyrodniały, oczekując teraz nowego odrodzenia.

Rozwój wszakże rad hrabstw (county councils) ma potężne znaczenie, jak to wykażemy, nietylko dla Anglii, ale i dla wszystkich innych krajów cywilizowanych. Ów samorząd jest nowym zupełnie tworem, ukształtowanym zaledwie 1888 r., gdy Londynowi, z wyjątkiem śródmieścia, nadano zarząd hrabstwa. Nowe rady nie są dalszym ciągiem średniowiecznego prowincyonalizmu, jeno zupełnie nową tkaniną 62 ciał samorządu na kanwie dawnych 52 hrabstw Anglii i Walii. W tych 62 komórkach spotykamy od czasu do czasu pustki, gdzie się przerywa tkanina życiowa rad, nie mogąc swą siecią objąć miast, mających więcej, niż 50 tysięcy ludności lub też grodów różnych, które walką dziejową wyrobiły sobie samodzielne stanowisko. Z tych względów nieraz publicyści przedstawiają Anglię jako arkę, w której święcie się przechowuje kult dla tradycyi. Rozumowanie to jest wszakże powierzchownem: nie trzeba bowiem zapominać, że angielska *gentry* odumarła politycznie bardzo niedawno (z ostatnią reformą parlamentarną) i że spadkobiercy jej, wiodąc systematyczny spór o całość dziedzictwa, posiadają tymczasem kawałki różne. Dopiero gdy dzisiejsza demokracya będzie miała chwilę spokoju, wtedy skrzepnie ona, a z ruchomej jeszcze dziś protoplazmy wytworzy się bardziej jednolite i zorganizowane ciało. Bądź co bądź, opisany przez nas w roku zeszłym zaczątek *terytoryalnego* samorządu, powstałego wraz z radami hrabstw, wskazuje nam drogi, po których potoczy się dalszy rozwój urządzeń angielskich.

Z wytworzonych w 1888 roku 62 rad hrabstw najważniejszą jest londyńska, jakkolwiek traktowana po macoszemu na wzór wyjątkowego prawodawstwa, jakiemu podlegają stolice lądu stałego. Ale parlament i stronnictwa nie mogą odebrać Londynowi jego pięciu milionów mieszkańców, jego znaczenia, jako pierwszorzędnego portu i składu handlowego dla Anglii i Europy. Będąc z powodu swych rozmiarów największem ogniskiem przemysłowem, Londyn stał się także centrem umysłowego życia Wielkiej Brytanii, wreszcie w nim, jako najpotężniejszem zbiorowisku ludzkiem, występują wszystkie zjawiska życia społecznego w jaskrawych barwach i w większych, niż gdziekolwiek, rozmiarach. Pomimo swego bogactwa, posiada on półmilionowy proletaryat, setkę tysięcy rąk, szukających napróżno pracy i chleba, dziesiątki tysięcy rozgorączkowanych głodem głów, niemających przytułku w nocy. Pomimo swej zdrowotności osławionej, są w Londynie dzielnice, w których śmierć zmiatała po 300 dzieci i po 40 osób dorosłych na każde tysiąc ludności (np. na tak zwanej „wyspie psów"). Mając najbogatsze w świecie kompanie wodociągów, które rokrocznie rozdawały obfitą dywidendę, Londyn 1889 r. posiadał na 748,773 domów 423,567 zaopatrzonych jedynie w studnie, siedliska zarazy. Nad tym olbrzymem pięciomilionowym zapanowały samowładnie obłoki z akcyj i obligacyj różnych przedsiębiorstw tramwajowych, dróg żelaznych, gazu itd. Londyn, jednem słowem, był oddany na pastwę wyzysku i szwindlu; nie było w stolicy ani należytego dozoru zdrowotnego, ani sprawdzania miar i wag; brak jej parków i skwerów, czystości na ulicach, opieki nad mostami, nawet dostatecznej ilości straży ogniowej.

I oto od r. 1888 garstka obywateli, walcząca o prawa stolicy, zaczęła się troszczyć o dobry zarząd miasta. Londyńska rada hrabstwa ma wprawdzie tylko jedno posiedzenie na tydzień, ale rozdzielona w komitetach, zasiada po 6—7 razy dziennie i załatwia przeciętnie 130 uchwał na tydzień. Streszczony porządek prac tygodniowych zajmuje cały tom, a badania komisyj i podkomisyj są szczegółowym dziennikiem, w którym wszelkie potrzeby i żądania pięciu milionów są zapisane. „Niebieskie książki" (blue books) Izby gmin mają wszechświatową sławę; „czerwone zeszyty i księgi" londyńskiej rady hrabstwa są już dziś wzorem pracy, poświęcenia i sumienności. Księgi rady p. t. „London statistics" są wybitnemi pracami naukowemi, a sprawozdania rady są skarbem wiedzy dla każdego obywatela, któremu ludność powierza pieczę nad sprawami ogółu.

Badanie potrzeb szło razem z ich zaspokajaniem. W przeciągu tych sześciu lat

przybyło Londynowi, przeważnie w częściach ubogich, przeszło *tysiąc akrów* ogrodów i skwerów. Już w marcu 1894 roku 613,187 domów było zaopatrzonych w wodociągi (zamiast 423,567 z r. 1889). Rada hrabstwa rozpoczęła nadto budowę domów z mieszkaniami dla ludności ubogiej. W samym środku miasta wykończono t. zw. „buildings," tj. wielkie gmachy mieszkalne, które oczyściły dzielnice środkowe od zarazy i brudu. Nadzór nad miarami i wagami, prowadzony stale i sumiennie, wyrugował oszustwa z handlu drobnego. W początku sądy rozpatrywały rocznie *tysiące* spraw przeciw fałszywym miarom i wagom; dziś czujność nadzorców rady wprowadziła do sklepiku „moralność handlową." Osławiona „wyspa psów," siedlisko dyfterytu, żywy cmentarz dla ludności najuboższej, jest tak uzdrowotnioną, że lekarz-nadzorca, dr. Alexander, mówi dziś o niej jako o najzdrowszej części przedmieści Poplar i Bromley.

(D. n.)

W. Nadolski.

Z GALICYI.

Daleko łatwiej można znaleźć chwalców niż krytyków. Pochwała bardzo blizko i często sąsiaduje z pochlebstwem; tylko rozumnym ludziom pozwala utrzymać się na stanowisku umysłowo niezależnem. Człowiek, usiłujący przypodobać się wszystkim, ot tak, sam nie wie w jaki sposób i kiedy schodzi ze stanowiska „objektywnego" na „pieczeniarskie" i zamiast za własnem sumieniem, idzie za cudzą misą. Krytycy stosunków społecznych najczęściej od misy są usuwani—za karę, że się jak z motyką na słońce, porywają na wielkich. Trzeba mieć więcej odwagi cywilnej i—może jeszcze coś—ażeby ganić, analizować, poznawać, a nie chwalić. Trudno jednak o kolorach rozprawiać ze ślepym, o muzyce—z głuchym, a o krytyce własnego społeczeństwa z tymi, którym najwięcej chodzi o utrzymanie w należytej jędrności i czerwoności własnych policzków.

Pozwólmy przeto płynąć wodzie frazesów obficie i swobodnie; ona nie zaleje nigdy chociażby najsmutniejszej prawdy. Jedną z tych smutnych prawd, która się najpatetyczniejszymi wyrazami zalać nie da, jest zły, bardzo zły stan moralny, umysłowy i ekonomiczny Galicyi, a żadne pozory zakryć go nie mogą. Jaka będzie przyszłość—nie do nas należy wróżyć. O teraźniejszości możemy mówić na podstawie cyfr, których wiarogodności zaprzeczyć się nie da, na zasadzie faktów, które się przesuwają przed oczami naszemi w całej swojej smutnej grozie. Jeden z odważnych publicystów lwowskich w ten sposób charakteryzuje dzisiejsze położenie: nie ma kraju, w którym-by tak rozpanoszyło się łakomstwo na zaszczyty publiczne i pożądanie tłustych synekur, jak w Galicyi. To obżarstwo jednostek bokiem wyłazi społeczeństwu i jego rzetelne interesy dławi, fałszuje... Nie smaruje się nawet, najczęściej skrzypi, aż uszy bolą—ale się jedzie. Dokąd? Do końca własnego nosa i do nepotyzmu. Mnóstwo w Galicyi jest takich, którzy bezkarnie na stanowiskach żyją, tyją, blagują, wegetują, próżnują, deklamują, strzygą oślemi uszami i kpią sobie po cichu, a nieraz i głośno ze wszystkiego, co uczciwych ludzi boli, podnosi, a krew do serca i mózgu wyrzuca.

Jak wypadł jubileusz Bogusławskiego, pisałem o tem, nie ze względu na Bogusławskiego, ale stan duchowego uśpienia, w jakiem społeczeństwo tutejsze spoczywa. Kiedy hrabia Badeni pokłóci się z hrabią Milewskim (znany miłośnik sztuki i—procesów) świat tutejszy ożywia się i z werwą, godną lepszej sprawy, powtarza sobie na ucho wszystkie skandale i plotki; kiedy policya wykryje istnienie grecko-polskiego klubu zakazanych przez prawo i moralność przyjemności—wszystkie panie będą sobie przekazywać z ust do ust nazwiska zezo-okich i krzywo-szyich Adonisów—ale na tem się ożywienie kończy. Teraz trwa we Lwowie sesya sejmowa. Bywanie na posiedzeniach jest czemś nieskończenie bolesnem. Podczas czytania najważniejszych referatów, sala napełnia się szeptem lub przedstawia widok apatycznego uśpienia. Nikt nie słucha, nikt się nie interesuje. Są referenci, którzy sumiennie przygotowując się do dyskusyi, pragnęliby ją wywołać—ale nie tak łatwo rozruszać umysł galicyjskiego półpanka. Większość czyta, obojętnie, apatycznie, nosowym głosem, jak pijany organista akt zejścia—a potem powtarza się regularnie ta sama scena: nikt głosu nie zabiera. A więc poddają pod głosowanie .. kto jest za—niech raczy rękę podnieść... Głos marszałka, jak woźnego, budzi na chwilę audytoryum, ręce podnoszą się do góry bezwiednie, nie jako świadectwo tej lub owej opinii, lecz jako znak, że się czegoś słuchało, a potem patrzą wszyscy na zegarki czy rychło—obiad i odpoczynek.

„Na całej kuli ziemskiej—mówi Szczepanowski, poseł do rady państwa, więc człowiek, który chyba zna galicyjskie stosunki—ani w historyi przeszłych wieków nie ma najmniejszej analogii do polityki ekonomicznej obecnej większości Koła polskiego, tj. reprezentacyi Galicyi w Radzie państwa, dziwoląga, składającego się w równej mierze z przedpotopowych tradycyj szlachty i z zardzewiałej rutyny biurokratyzmu. Największa osobista zacność i niepokalaność charakteru nie może wynagrodzić zupełnego zapoznania niezbędnych ekonomicznych potrzeb nowożytnego społeczeństwa. To też miarka cierpliwości w całym kraju przebrała się.

Spojrzmy dokoła — wszędzie nędza i ciemnota ogromnej większości tutejszego społeczeństwa. W Wiedniu rzeczywistego wpływu mieć nie możemy, prawie w niczem bowiem nie przyczyniamy się do wspólnych wydatków rządu centralnego. Jesteśmy pionami w komedyi parlamentarnej, nasze głosy szafują cudzym groszem, a jedyną polityką jest żebranina o okruchy z budżetu wiedeńskiego, zamiast wytężania sił własnych i uzyskania w tym celu większej miary samorządu. Pozwoliłoby to nam przez rozwinięcie obfitych zarodków bogactwa w naszym kraju, rozporządzać niet tylko głosami, jak dziś, lecz wstąpić na drogę rzeczywistego postępu.

Zapewne, kto dowiaduje się z dzienników o rozmaitych, tak zwanych u nas „usiłowaniach" do podniesienia dobrobytu ludności wiejskiej, (nie mam na myśli w tej chwili całej ludności robotniczej) a czynach około poprawienia chowu bydła, uregulowania hal etc., ten słusznie spodziewać się może dobrych rezultatów. Ale jaki stosunek zachodzi między usiłowaniem, nawet pracą a rzeczywistością? Czy dobre chęci usuwają nędzę, karmią kogo? Nie. Pozostaje przeto fakt, nie dający się z życia tutejszego usunąć—nędza. Nie można jej zasłonić żadnym frazesem, żadnem usiłowaniem wykorzenić, bo ona tkwi w systemie rządowym, popieranym za zaszczyty i ordery przez wytworzoną na miejsce niemieckiej polską biurokracyę. Jedna część tych pijawek odegrywa rolę dobrodziejów kraju i zbawców, druga za fałszowane obole austryackie sprzedaje krew własnych braci, ciemnych, głupich, ubogich, nie mających nawet odwagi upominać się o prawa swoje.

Chłop galicyjski posiada (licząc bydło rogate, nierogaciznę i owce), przeciętnie pół sztuki bydła, angielski na mniejszej przestrzeni— dwie, niemiecki $1^1/_4$, więcej nieco francuski, bogatsi zaś pod tym względem od nich wszystkich są włościanie belgijscy, rumuńscy, już nie mówię o irlandzkich. Cóż to znaczy? To, że chłop galicyjski nie ma czem karmić swego bydła, nie umie tej paszy wydobyć z ziemi; że nie ma czem dobrze uprawić posiadanej roli, licho odżywia się sam i nie ma czem odżywiać dzieci. Przełożywszy cyfry i uwagi z nich płynące na słowa bardziej zrozumiałe, przekonać się łatwo, że chłop galicyjski jest ubogi, ciemny i nędzę cierpieć musi. Czy tak jest, znajdziemy łatwo odpowiedź w faktach.

(D. n.)

Cho.

LIBERUM VETO.

Prawda w księdze przysłów. — Kłamstwo jako czynnik społeczny. — Urodzaj na łgarzów. — Bagno dziennikarskie w Paryżu. — Skrzypce prawdy wobec rzezimieszków prasy. — Jowialszczyzna Mascagniego. — Powód powtórzonej jego spowiedzi. — Zgromadzenie gadających. — Największe morze. — Skutek napomnienia.

Gdy wziąłem do ręki świeżo wydaną księgę przysłów p. Adalberga, którą na innem miejscu dzisiejszego numeru ocenia J. Karłowicz, dziwnym trafem otworzyła mi się ona na wyrazie: „prawda." Odczytałem ciekawie cały zbiorek mądrości, zgrupowany około wyrazu i przekonałem się raz jeszcze, że „prawda" jest jednym z najgorszych interesów, jakie człowiek podjąć może. Bo posłuchajcie, co o niej mówią przysłowia:

„Kto na prawdzie gra, skrzypce mu o łeb tłuką.

Kto o prawdzie dzwoni, taki na guz goni.

Nie mów prawdy w oczy, bo ci do łba skoczy.

Powiedz komu prawdę w oczy, to cię kij doskoczy.

Prawda boli.

Prawda gorzka potrawa.

Prawda kiedyś była, to ją wilki zjadły.

Prawda nienawiść rodzi.

Prawda nie zbogaci.

Prawda rzadka rzecz między ludźmi.

Prawda szyję złamała.

Prawda w bawełnie leży, a kłamstwo leży w prawdy odzieży.

Prawdą nie przeżyjesz.

Prawdą się nie dorobi.

Z prawdą do ludzi, jak z jeżem do psa."

I tak dalej. A chociaż niektóre przysłowia pocieszają, że „prawda, cnota i sprawiedliwość na jednem gnieździe się lęgną," że „prawda nie ohydzi, jałmużna nie zuboży, msza nie opóźni," jednakże przeważnie niewesoły malują jej żywot w świecie. „Z prawdą nic się nie rymuje" — a jeżeli się rymuje, to bardzo licho. Czyżby to trafne spostrzeżenie, dotyczące wyłącznie naszego języka, miało znaczyć, że ona u nas posiada najmniej przyjaciół? Rzeczywiście tak jest, ale ich procent w stosunku do kłamców zależy również od pory. Bywają czasy, kiedy łgarze są skromni, lękliwi i dlatego niezbyt widoczni; ale bywają inne, w których oni nabierają odwagi, występują na pokaz, krzyczą, przechwalają się bezczelnie, błyskają zuchwale miedzianemi czołami — i wtedy zdaje się, że tworzą niezliczony zastęp. Wówczas każdy z nich — według przysłowia — „co tchnie, to łgnie," „łże, aż ściany schną, łże bez miłosierdzia, łże, jak myśliwy, jak najęty, jak niepoczciwy, jak pies, łże jak drukuje, łże jak z nut," słowem, „żadna bestya tak nie łże, jak człowiek." Nie zawsze zaś to dostrzegamy, gdyż ludzie nazywają łganie rozmaicie: moralnem oburzeniem, oportunizmem, poglądem umiarkowanym, miłością prawdy, najczęściej zaś polityką.

Cokolwiek byśmy powiedzieli o kłamstwie, niepodobna go lekceważyć, gdyż sta-

ło się ono jednym z najgłówniejszych czynników życia ludzkiego. Przypuśćmy, że ono pewnego dnia pod czarodziejskiem zaklęciem zniknęło zupełnie; czy jakikolwiek inny ubytek mógłby dokonać większego przewrotu? Strach pomyśleć! A jeżeli ludzie współcześni chcieliby być świadkami tego kataklizmu, to chyba powodowani takiem okrutnem pragnieniem, z jakiem oglądają wielki pożar, który jest widowiskiem wspaniałem, ale niszczącem. Na szczęście dla bezpieczeństwa mają oni daleko liczniejszą i lepiej zorganizowaną straż, niż przeciw ogniowi, straż niezmiernie czujną i gaszącą najdrobniejsze iskry, groźne dla kłamstwa. Wątpisz, czytelniku? Spróbuj tylko odezwać się w salonie:

— Gdyby panna Adela zamiast uprawiać śpiew bez głosu, czuwała nad bielizną swych braci...

— Gdybyś pan — odpowiedzą ci — zamiast popisywać się z brutalstwem, nauczył się troszkę grzeczności...

To znaczy zagrać na prawdzie i dostać w łeb skrzypcami..

Nikt z was nie słyszał, ażeby kiedykolwiek istniało stowarzyszenie, jakiś związek ludzki, poświęcony prawdzie; tymczasem ileż ich istnieje dla czci łgarstwa! W ostatnich czasach objawił się u nas olbrzymi przyrost wyznawców tego kultu, a trzeba im przyznać, że posiadają dość wysoki kaliber. Za mojego życia nie pamiętam roku, w którymby się urodziło tylu i tak zuchwałych łgarzów. Zarówno liczbą, jak odwagą, wyciskają oni znamienne piętno na chwili obecnej, która może kiedyś za ten znaczek nie będzie im wdzięczną.

Z jaką wściekłością i świątobliwą zgrozą roztrzaskanoby skrzypce na głowie śmiałka, któryby się odważył zagrać redaktorowi poczytnego pisma pieśń o łapownictwie! Czystość prasy, nieskazitelność charakteru, kapłaństwo w służbie publicznej — wszystkie te wyrazy, ująwszy się w łańcuch, zatańczyłyby korowodem około spotwarzonego, rzucając przekleństwa na potwarcę. A jednak jakie to bezdenne bagna kryją się w wielu szanownych redakcyach! Świeżo przekonała nas o tem Francya, odsłoniwszy tajemnice dziennika *Wiek XIX*. Doprawdy, dla spamiętania rysów tego naszego wieku warto jest przeczytać mowę prokuratora, przesuwającego przed nami galeryę łotrów w szatach arcykapłańskich. „Do uprawianego przez nich zajęcia — powiada on — nie potrzeba ani zdolności literackich ani przekonań! Znaleźli majątek, z którego mogli czerpać do woli, a majątkiem tym było: życie prywatne ludzi. Więcej niczego nie żądali! Udoskonalili oszczerstwo, aby uczynić je korzystniejszem; żyli nie z tych denuncyacyj, które drukowali, lecz z tych, któremi grozili wiecznie, że wydrukują, to też rzec można, iż mniej zarabiali piórem, niż milczeniem.

Opinia publiczna obrzuciła ich całą swoją pogardą. Prasa uczciwa wołała do nas: „odwagi.“ Niech rachuje na nas i niech wie, że nie zawahamy się wymierzyć kary po raz drugi. Wobec tego, ludzie uczciwi niech nie wahają się wskazywać tych bandytów pióra; my znajdziemy ich, gdziekolwiek się ukrywają i sprowadzimy tutaj.“

Następnie prokurator w kilku rysach kreśli sylwetki oskarżonych:

„Oto jest Clerq, figura nędzna w porównaniu z takim Girardem, a jeszcze więcej z takim Portalisem. Jest on młody, zepsuty w obcowaniu z ostatnim, który go eksploatował, z kolei zabierając mu lwią część łupu i posyłając go w ogień, gdy sam przezornie trzymał się w ukryciu.“

O Portalisie i Girardzie prokurator mówi:

„Bliskie podobieństwo i bliskie interesy. W tej fabryce szantażu, zwanej *XIX Siècle*, trudno odróżnić jednego od drugiego. Obaj podzielili się wszakże rolami. Wyniosły, pogardliwy, z pięknemi manierami, posiadacz głośnego niegdyś nazwiska Portalis pozostawił sobie ministeryum stosunków zewnętrznych.

Girard nie był stworzony na reprezentanta. Spokojnej natury, po ojcowsku opiekował się kieszenią ofiar, które mu nadsyłał wspólnik. W tem stowarzyszeniu łotrów Portalis przypomina barona feudalnego, który opuszczał swój zamek jedynie, aby rabować podróżnych. Całe życie tego człowieka było jedną długą frymarką piórem i sumieniem. Po komunie usiłował sprzedać się książętom orleańskim. Później założył *Korsarza*. Taki tytuł, co prawda, powinny były nosić wszystkie jego dzienniki. Od biednych robotników wyłudził 60,000 fr. pod pretekstem, że pośle ich na wystawę wiedeńską. Potem razem z Girardem przen si się do *Petit Lyonnais*, gdzie pierwszem jego staraniem było ukraść ze wspólnej kasy 500,000 fr. Wkrótce potem oszukuje akcyonaryuszów *XIX Siècle* na 600,000 fr. Codzień nowy szantaż, którego ofiarami padają kolejno: Bloch, Bertrand, Sammarcelli, Heniording et Sardou, dom Flageolet, Towarzystwo kolei południowych itd. itd. Ten rycerz przemysłu przez miłość dla sztuki wolał często ukraść 20,000, niż zarobić 40,000 fr.“

Sylwetkę Heftlera, naszego ziomka, tak określił:

„Ten dawny sekretarz barona Seillière, przybierający tytuł barona dlatego, że nim był jego pryncypał, jest zwyczajnym nędznikiem. Zawsze on gotów umaczać ręce we wszystkich nieczystych sprawach, byleby mu tylko dobrze zapłacili. Jest to skończony typ pasorzyta, żyjącego zawsze na rachunek innych. Jego salon przy placu de la Madeleine był wprawdzie zbytkowniej urządzony, niż las Bondy, ale nie był bezpieczniejszym. Tam to nieszczęśliwi, zgnębieni przez Portalisa, przychodzili zdawać się na łaskę i niełaskę. W takich chwilach Heftler wydawał się im narzędziem Opatrzności. On to wyciągał do nich gałązkę oliwną...

Nędznicy ci upominali się o wolność prasy wobec władzy po to, aby tę prasę sprzedawać więcej dającemu. Ukarzcie tych niegodnych ludzi, którzy nawet biedy nie mogą przytoczyć na swe usprawiedliwienie. Poślijcie ich pomiędzy pospolitych złodziejów i oszustów. Oswobódźcie publicystów, którzy zachowali cnotę i sumienie swego zawodu, od tych upokarzających wyrzutków społeczeństwa. Gdy to uczynicie, nie mając obok siebie kolegów bez czci i wiary, pracownicy ci staną z większą odwagą do codziennej walki, wielkiej i płodnej walki o ideje.“

Prokuratorom wolno mówić tak szczerze o rzezimieszkach, ale niech no by spróbował tak się odezwać nawet Arystydes! Dowiedliby mu oni, że jest gwałcicielem zakonnic, rabusiem skarbonek kościelnych, podpalaczem szkół i szpitalów, zabójcą ojca i matki — a oni mścicielami tych zbrodni. Ilu i jakich każde społeczeństwo posiada złoczyńców prasy, tego nikt ściśle powiedzieć nie umie, o tem zaledwie częściowo dają wyobrażenie przypadkowe odkrycia, przenoszone do sądów karnych. To tylko pewna, że ta prasa obok wielu cnót, talentów, szczytnych zamiarów, miłości dobra i czystości przekonań, kryje w swem łonie ogrom zepsucia, zrodzonego z nadużycia swej siły. Nie jest ona zresztą wcale grzesznicą wyjątkową. W atmosferze, w której wszystko nadgniło, i ona nadgnić musiała.

I ta wszakże stara, przebiegła plotkarka, bywa czasem naiwną. Zadajcie sobie na chwilę trud i obrachujcie w przybliżeniu, ile razy już czytaliście spowiedź Mascagniego o pierwszym jego występie kompozytorskim i o narodzinach *Cavallerii*. Nie przesadzę chyba, twierdząc, że te wyznania o wędrówkach z trupą prowincyonalną, o głodzie, zastawianiu zegarka itd. powtarzają się przynajmniej... przed każdą nową operą muzyka włoskiego. Jaki ich cel? Nie odgadlibyśmy może, gdyby nam nie doniesiono przez pisma europejskie, że jego przedsiębiorca przeznaczył kilkaset tysięcy franków na rozreklamowanie *Ratclifa*, który wkrótce ma być wystawiony. Co ta olbrzymia suma pokryje? Albo ja wiem, ale przypuszczam, że także i grzeczność gazet, drukujących jeszcze raz opowiadanie Mascagniego, jak i kiedy napisał *Ratclifa*. Nasza prasa, która w wielkim chórze reklamy gra często rolę papugi, powtarza starą bajkę bezinteresownie, nie zdaje sobie sprawy, że mimowolnie spełnia wolę nieświadomej siły i wysługuje się jej interesom.

Chociaż trudno rzec, co z dwojga złego jest znośniejsze, czy owa jowialszczyzna Mascagniego, czy równie często powtarzane wnioski i uchwały rozmaitych zgromadzeń gadających. Największem morzem na kuli ziemskiej jest chyba morze słów, wylewanych przez nas dla wykazania „pilnych potrzeb“ i „środków zaradczych.“ Rolnictwo, przemysł, rękodzieła — we wszystkich dziedzinach turkocze kołowrot komisyj i referatów, z którego nie sypie się żadna mąka, tylko plewy. Już obmyślono milion sposobów dla podniesienia rolnictwa, a na zwyczajną wystawę inwentarza lub fabrykę nawozów sztucznych brak pieniędzy i energii. Szanowne konsylium, radzące nad chorobami naszego społeczeństwa, już my wiemy, czego nam brak, więc zacznijcie nas leczyć. Niech się raz skończy to wieczne gadanie i przejdzie w czyn. Głowy nam popuchły od rozpraw i sporów, mamy pełne uszy mądrych uchwał i szlachetnych zamiarów, a teraz chcielibyśmy już widzieć ich wcielenia. Jeżeli skąpy magnat nie chce wam wydzierżawić folwarku, poszukajcie prędko innego kawałka ziemi; jeżeli zamiast taniej sprzedaży zboża doradzacie wypasanie niem zwierząt, urządźcie ich wystawę i uznajcie ją za coś pilniejszego, niż wyścigi końskie i totalizator; jeżeli fabrykanci nawozów sztucznych obdzierają rolników i nie dają im produktów rzetelnych, zacznijcie je wytwarzać sami. Zresztą róbcie, co wam się podoba, ale nie ograniczajcie się na gadaniu, bo morze słów waszych jest już tak wielkie, że wasze czyny wyglądać na niem będą, jak drobne łodzie rybackie. Język dosyć się już napracował, niech odpocznie i odstąpi swe zadanie rękom. Mam nadzieję, że ten mój głos nie odbije się od głuchych uszu i że na przyszły tydzień usłyszymy... obrady nad kwestyą: czy należy konie poić, czy przeprowadzać je podczas deszczu, ażeby nasiąkły wodą przez skórę.

Poseł Prawdy.



W DALI.

Moskwa w lutym.

O pogodzie.—Przedstawienie amatorskie i bal polski.—Pogłoski o samorządzie miejskim w Królestwie Polskiem.



Ostatnimi czasy mieszkańcom tutejszym pogoda tyle wyprawiła niespodzianek, że i ja mimowoli od niej muszę zacząć. Otóż Moskwa w tym roku, wbrew wszelkim zasadom meteorologii, nie miała w grudniu i styczniu prawie wcale mrozów. Pod wpływem ożywiających promieni słońca, życie zaczęło posuwać się naprzód nieco szybciej: spoglądano na świat pogodniej i weselej, układano wiele projektów cieplejszego charakteru, nie zwracano nawet wielkiej uwagi na odwieczne błoto i brud uliczny, który teraz zdawał się być mniej brudnym... Prysły jednak wiosenne projekty. Mróz chociaż spóźniony, zapanował z całą surowością. Pojawiły się trójki, wiozące synków kupieckich i chóry cygańskie do re-

stauracyj zamiejskich; odżyła tradycya zim poprzednich, które również w ten sposób spędzała zamrożona Moskwa.

W klubie niemieckim 4 lutego odbył się doroczny bal polski, urządzony staraniem komitetu dobroczynności przy kościele katolickim św. Piotra i Pawła (jest tu jeszcze francuski św. Ludwika). Na program zabawy złożyły się: przedstawienie amatorskie, na którem odegrano komedyę Przybylskiego „Dwór we Władkowicach“ i następnie, jako warunek nieodłączny—tańce.

Przedstawienie szło, jak na amatorów, dość gładko, a niektóre postacie nawet bardzo zręcznie odcieniowano. Bąbecki (p. Caneau) był typowym fabrykantem czekolady, do złudzenia przypominającym rzeczywistość. Rola Julki przypadła w udziale pannie Żłobickiej, która z wielkiem powodzeniem wywiązała się z trudnego zadania, grając z werwą i zrozumieniem rzeczy.

Dzięki wytrwałości i pracy p. Romualda Wasilewskiego (reżysera tutejszego teatru Wielkiego), niesforna gromadka amatorów poruszała się na scenie według wszelkich prawideł sztuki i często zapominaliśmy, że mamy przed sobą dyletantów. Po przedstawieniu rozpoczął się bal właściwy, który był niezbyt ożywiony i wesoły. Niegdyś bale polskie ściągały do salonów klubu niemieckiego masę ciekawych, przyglądających się z zajęciem mazurowi; w tym roku tańce szły ospale i brak młodzieży, zwłaszcza męskiej, był widocznym.

Zebrano jednak przeszło 1,000 rs. dla biednych wyznania katolickiego, tegoroczny zysk więc przewyższył dochody lat poprzednich.

Pozwolę sobie porównać bal polski w Moskwie z warszawskim. W salach redutowych lub ratuszu toalety dam błyszczą elegancyą i gustem, panowie wszyscy we frakach i białych rękawiczkach, gdy tymczasem i tu kobiety były ubrane nadzwyczaj skromnie i (przepraszam za prawdę) nie ujawniły wiele gustu; fraki były wyjątkami, przeważał surdut, lub nawet kurtka. Większa swoboda w zachowaniu się i prostota w obejściu, stanowiły też jedną z cech wyróżniających. Bal w Warszawie robi wrażenie gromady próżniaków, mających dużo wolnego czasu i spędzających go w przelatywaniu z kwiatka na kwiatek. Tutaj spracowane ręce, zaniedbanie stroju, poważniejszy wyraz twarzy wskazywały, iż mamy przed sobą ludzi, oddających się ciężkiej pracy, którzy uważają udział w balu, jako powinien obowiązek moralny wsparcia biedniejszych współziomków, przy tem cenią nie zabawę, lecz życie towarzyskie, jako czynnik moralny.

Zaznaczyć jeszcze muszę, że cena biletów na przedstawienie była nieco wygórowaną (najtańszy 1 rs. 10 kop.), przez co prawdopodobnie niejeden z uboższych wyrzekł się tej przyjemności.

Mosk. Wied. zamieściły następującą wzmiankę z Petersburga: „Ministeryum spraw wewnętrznych ma zamiar wkrótce przystąpić do rozpatrzenia projektu wprowadzenia ustawy miejskiej w Królestwie Polskiem. Powstał on skutkiem obojętności obywateli na potrzeby miast, gdyż nie biorąc udziału w obradach magistratu, apatycznie zachowują się wobec wszelkich projektów zarządu miejskiego. Żeby zainteresować więcej ludność sprawami urządzenia (*błagoustrojstwa*) miast, postanowiono w pewnym stopniu powołać ją do udziału w obradach nad sprawami miejskiemi.“

Zygmunt Kot.

Łódź. Oporność miejscowych właścicieli domów i fabrykantów względem wszelkich środków zdrowotnych, stanie się wkrótce przysłowiową. Komisye sanitarne muszą walczyć z nimi sposobami przymusowymi o najmniejsze szczegóły czystości.—Sprawą pierwszorzędną dla mieszkańców miasta jest obecnie rzeźnia centralna, która wkrótce ma być urządzona według najdoskonalszego typu. W roku 1892 projektowano rozszerzenie bydłobójni istniejącej; ale myśl ta miała wiele stron niepraktycznych; municypalność więc poleciła rzeczoznawcom opracować nowy projekt, według którego rzeźnia ma tak wyglądać: Studnia artezyjska zasilać będzie wodociągi, posadzki w budynkach bazaltowe, ze spajanymi cementem ściankami, wszędzie wentylacya nieodłączna, chodniki dokoła budynku asfaltowe, podwóże żwirowane. Budowa powierzona będzie przedsiębiorcom prywatnym przez licytacyę.—Przy instytucyach pocztowo - telegraficznych w gub. piotrkowskiej, otwarto nowe kasy oszczędności w następujących miejscowościach: w Aleksandrowie, Konstantynowie, Łodzi (przy filii pocztowej), Tuszynie, Rokicinach, Głównie, Bełchatowie, Wadlewie, Sulejowie, Wolborzu, Widawie, Szczercowie, Lutomiersku, Zelowie, Brzeźnicy, Silniczkach, Sulmierzycach, Siewierzu, Żarkach, Krzepicach i Białej.

Lublin. Nareszcie miasto doczekało się lombardu, który w błogiem mniemaniu wielu mieszkańców, ma ich ochronić od wyzysku lichwiarzy. -W instytucie rolniczo-leśnym (Nowa-Aleksandrya) odbywają się odczyty na korzyść niezamożnych studentów.—„Krzątacze“ w sprawach miłosierdzia publicznego tak się przyzwyczaili przeważnie do jednego sposobu naciskania serc i trzosów ludzkich—balu, że gdy ten nie dopisze, biedni nie mają już pomocy. Tak właśnie było w karnawale obecnym; tradycyjny „bal drewniany“ dla zaopatrzenia nędzarzy w opał, nie przyszedł do skutku, ubodzy więc cierpią wyjątkowo, bo z braku zapomogi dorocznej i wskutek zimy niezwykle surowej, a ci, którzy zazwyczaj chętnie kupowali bilety na zabawę, w tym roku nie domyślili się ofiarować skromnej kwoty w stosunku kosztów wstępu do sali, chociaż sumka ta byłaby małą drobinką wydatków balowych.—Na posiedzeniu kasy przemysłowców lubelskich rozpatrywano wniosek podwyższenia płacy urzędników zamiast gratyfikacyi, na którą nie zawsze mogą liczyć. Przeciwnicy projektu ratowali się twierdzeniem, że urzędnicy owi pracują zbyt mało, więc się nie należy im żadna podwyżka. Poddano kwestyę pod głosowanie i piękny wniosek opadł przed siłą większości nieprzychylnej.

SPRAWY EKONOMICZNE.

WARUNKI NAJMU.

Chwila obecna przedstawia ciekawy obraz dla tych, których zajmują zjawiska życia społeczno-ekonomicznego. Cukrownicy procesują się ze sobą o sprzedaną ilość produktu, wbrew umowie, liczą już zyski wytwórczości rocznej, a dymiące przez parę miesięcy ich fabryki cichną i stygną, kampania skończona i z tych ognisk pracy odchodzą tłumy najemników do domów dalekich. Jednocześnie z wyższych sfer administracyjnych wyszła pożądana wieść o zamiarze zreformowania na drodze prawodawczej warunków najmu, czyli handlu cudzą pracą. Ponieważ cukrownictwo w tej mierze przedstawia najwybitniejsze zjawisko i zatrudnia tysiące ludzi, przyjrzyjmy się więc najpierw umowom i podkładowi pracy w owej gałęzi, tem bardziej, że wkrótce warunki zatrudnienia mas najemników posłużą władzom ministeryalnym za konieczny materyał do rzeczonej reformy. Dane mamy bardzo pewne, bo pochodzące ze źródeł urzędowych tudzież między innemi zebrane przez uważnego spostrzegacza, dr. Sulimę, którego pracę w tym przedmiocie ogłosiła Akademia wojenno-medyczna w Petersburgu.

Zaczniemy od prowincyj czarnoziemnych, gdzie te zjawiska najbardziej typowo występują. Robotnicy przy cukrowniach dadzą się rozdzielić na dwie grupy: na plantacyach buraczanych i w fabrykach. Jak wiadomo, czynność pierwszych na polu trwa przez całe lato i jesień. Zwykle od początku września do połowy listopada jest praca największa: kopanie i tymczasowe oczyszczanie buraków. Roboty owe wymagają znacznej liczby rąk; przez cały sezon letni i jesienny każda fabryka zatrudnia na plantacyach 500—1,000 i więcej ludzi. Tylko pojedyńczy, mali hodowcy posługują się siłami miejscowemi. Gdzie uprawa odbywa się na wielką skalę i gdzie przemysł cukrowniczy zanadto się skupił, tam miejscowi nie wystarczają, trzeba sprowadzić robotników z dalszych stron, (jak to czynią cukrownicy i plantatorowie w Niemczech, szczególnie w Saksonii). Najmowani są albo podziennie (przeważnie miejscowi), albo według systemu akordowego—od uprawy morga buraków. Stąd noszą nazwę robotników morgowych. Pierwsi na wikcie fabrycznym, np. w gub. podolskiej otrzymują przeciętnie po 6 rs. za 30 dni; drudzy—po 10 rs. od morga. Na swojem utrzymaniu pierwsi 7½—9 rs. za taką samą ilość dni, drudzy—12 rs. za mórg. *) Na plantacye robotnicy, zwłaszcza morgowi, przybywają z rodzinami i cały czas spędzają na polu pod gołem niebem. Najcięższa i najdłuższa praca—kopanie, przypada bardzo często podczas słoty i zimna i trwa około miesiąca. Robotnicy z dalszych stron przychodzą i przyjeżdżają z całem swojem bogactwem domowem: wóz to ognisko rodzinne, gdzie się mieszczą nie tylko dzieci i niemowlęta przy piersiach, lecz dorośli mają tam swoje noclegi podczas niepogody. W dni ciepłe i suche śpią wprost na ziemi, lub w szałasach. Pracują od 5 rano do 5—6-ej wieczorem, częstokroć przemokli, zziębnięci, zabłoceni.

Praktykowany niegdyś powszechnie sposób werbowania najemników, dziś utrzymał się tylko w niektórych miejscowościach: Gdy cukrownictwo dawało przedsiębiorcom olbrzymie zyski, a praca była tańszą, każda fabryka starała się mieć możliwie najwięcej buraków, uprawiała ogromne plantacye. Brak atoli niezbędnej ilości rąk pobudzał przemysłowców do różnych sposobów: poili robotników wódką, zachęcali ich muzyką, zwiększali płacę nad normę umówioną. Rano dźwięki orkiestry, przejeżdżającej przez wsie pobliskie, budziły włościan, zabierano ich na wozy, a po skończonych robotach młodzież tańczyła do późnej nocy. Dziś środki te rzadziej bywają używane.

Najciekawsze i najcharakterystyczniejsze są warunki najmu robotników *do cukrowni.* Zwykle umowy bywają zawierane z grupami po 100—200 i więcej osób. Największy procent fabryk korzysta z ludności dalekich, ubogich stron, a im bardziej rodzinne wsie najemników są odległe, tem łatwiej ich uzależnić, tem korzystniejsze dla fabrykantów i stręczycieli warunki można wytargować. Administracye fabryk nie mają kłopotu, gdyż zwykle każda posiada stałych dostawców, z którymi robi kontrakt na dostarczenie potrzebnej liczby ludzi za opłatą od głowy, naturalnie przewyższającą skalę zarobku najemnika. Zwykle owi pośrednicy udają się w styczniu, lutym i marcu o setki wiorst, najczęściej do ubogiej Białoruszczyzny i tam robią umowy na przyszłą kampanię, ze ściśłem oznaczeniem terminu przybycia a nieokreślonym odejścia: robotnik powinien się ugodzić „na cały okres czynności fabryki.“ Najęci podpisują w gminach umowy, zawierające mnóstwo zobowiązań, ale żadnej rękojmi zabezpieczenia ich od

*) Dr. Sulima. *Przemysł cukrowniczy pod względem sanitarnym.* Petersburg, r. 1892.

wyzysku; przy tem skontraktowaniu otrzymują zaliczki w stosunku dwumiesięcznego zarobku. Płaca najemników, zamiejscowych na wikcie fabryki waha się od 5 do 6 rs. 50 kop. (Według inspektora Nowickiego, w gub. kijowskiej 6—7½ rs.). Na własnem utrzymaniu pobierają po 8—10 rs. za 30 dni; tak zwani zaś pół-robotnicy w pierwszym wypadku 3—5 rs., w drugim—5—7 rs. Przed rozpoczęciem czynności fabryk w końcu sierpnia agenci cukrowników lub pośrednicy jadą powtórnie „wypchnąć“ najemników do fabryki tudzież zabrać w gminach pasporty i dać pieniądze na przejazd. Owe „wypychanie,“ częstokroć przy pomocy władz gminnych, bywa nieraz dość kosztowne, do liczby zaś środków zachęcających należy między innemi wódka, nieodłączny czynnik przy najmie i wyprawianiu. Agenci, handlarze cudzej pracy, zazwyczaj są wprawni i doświadczeni, starają się zaś zawsze werbować robotników z tych samych miejscowości, gdyż tam zwykle wytwarzają się stali dłużnicy. Jedna umowa obejmuje całą grupę, czyli artel robotników solidarnie odpowiedzialnych; niedotrzymanie więc zobowiązań jednych, spada ciężarem na innych. Najmujący przewidując zawsze pewną liczbę dezerterów, werbują więcej niż potrzeba. P. Światłowskij w swojej obszernej pracy *) podaje wymowne i nad wyraz smutne przykłady warunków najmu robotników do cukrowni gubernii podolskiej. Pozostają oni wiecznie w rękach pośredników żydów, którzy nie tylko trudnią się najmem, ale i żywieniem podczas roboty. Oto wypis z książeczki najemnika, Jakóba: Zarobek 7 rs. za 30 dni (po 12 godzin) na wikcie fabryki (raczej pośrednika). Wzięto zaliczki rs. 12, na drogę do fabryki 3 rs. 50 k., razem rs. 15 kop. 50. We wrześniu odrobiono 24½ dni (tyle fabryka była czynna) na sumę 5 rs. 71 kop.; winien 12 rs. 79 kop. W październiku odrobił dni 31 na sumę rs. 7 k. 23, winien 5 rs. 56 k. W listopadzie za 31 dni 7 rs. 23 k., należy mu się 1 rs. 67 k. W grudniu 37 dni 8 rs. 63 k., należy mu się 10 rs. 30 k., z tej sumy otrzymał gotówką 2 rs. 45 k., na styczeń zostaje 7 rs. 85 k. W styczniu za 26 dni zarobił 5 rs. 83 kop. Według umowy, na drogę 3 rs. Należy się ogółem rs. 16 k. 68. Z tego przy powrocie do domu dostał gotówką 11 rs. 12 k., reszta 5 rs. 56 k. została na umorzenie długów za towarzyszów, którzy nie dotrzymali umowy. Tak więc fabryka była czynna 137 dni, przez ten czas najemnik powyższy pracował przez 148½ dni roboczych (tj. czasem nie po 12 godzin, lecz całą dobę). Wypoczynku miał tylko 4 dni na święta uroczyste. Rezultatem tej pracy było 11 rs. 12 k. — zarobek w gotówce przy powrocie do domu. Sumka ta w długiej podróży topnieje: od fabryki do najbliższej stacyi — Wapniarki 30 wiorst trzeba iść pieszo; wieś rodzinna leży w powiecie rasławskim gub. smoleńskiej. Jeżeli połowę tej drogi przejedzie koleją (przez Kijów, Bachmacz i Horodnię) to powinien zapłacić za przejazd 8 rs. 98 k. Tym sposobem po przybyciu na ostatnią stacyę będzie miał tylko 2 rs. 14 k. Dalej najkrótszą drogą musi iść pieszo 282 wiorsty i liczyć tak, ażeby ta sumka wystarczyła na pożywienie. Do domu więc po kilku miesiącach ciężkiej pracy przychodzi bez grosza. Ale oto w ślad za nim przyjeżdża znajomy pośrednik, bo już czas robić nowe kontrakty na przyszłą kampanię cukrowniczą. Nie pozostaje więc Jakóbowi nic, jak zawrzeć umowę i wziąć zaliczkę.

Inni wracają nietylko bez pieniędzy, ale nawet zadłużeni w cukrowniach, a raczej u agentów. Zaliczki otrzymują w stosunku zarobku dwumiesięcznego, a ponieważ kampania dzisiaj trwa przeciętnie tylko około trzech miesięcy, więc oczywiście inne wydatki pochłaniają tę trzecią część z nadwyżką w rubryce długu. Smutny widok przedstawiają te gromady, obdarte i głodne, wracające do domów; niektórzy marzną lub umierają w drodze z wycieńczenia i chorób, nabytych w fabryce. Bardzo często podróż trwa dwa tygodnie. Najniezbędniejsza racya pożywienia na dobę, według obliczeń dr. Sulimy, składa się: z 3 funtów chleba 9 kop., śledzia lub suchej ryby („tarana“) 5 kop., kieliszka wódki 3 kop., noclegu 1—2 kop., razem 18—20 k. Zatem na pożywienie w podróży dwutygodniowej potrzeba 2,50—3 rs. Jakże sobie radzą ci, którzy odchodzą z fabryki bez grosza? Ratuje ich czasem „miłosierdzie“ cukrowni, które dają takim nędzarzom „wsparcia“ na drogę. Praca w cukrowni nie pozwala myśleć o innych zarobkach. Jednakże ci, którzy posiadają jakieś rzemiosło, starają się zużytkować produkcyjnie chwile, przeznaczone na wypoczynek. Tacy wolą zmianę nocną, tj. od 12 w nocy do 12 w południe, kilka bowiem godzin w dzień mogą poświęcić na roboty krawieckie lub szewckie, plecenie „łapci“ itd.

W Królestwie warunki najmu do cukrowni są nieco odmienne, przedewszystkiem z tego względu, że najemnicy nie pochodzą ze zbyt odległych stron. Cukrownie zaś w większości wolą się posługiwać stałymi, którzy z całemi rodzinami przybywają, znęceni bezpłatnem mieszkaniem, opałem, a nieraz kawałkiem ogrodu pod kartofle. Gdzie wszakże w ogniskach przemysłu cukrowniczego pracuje od września do stycznia 17,000 ludzi, tam pośrednicy muszą mieć obszerne pole do działalności, może tylko nie tak jaskrawej, jak gdzieindziej. Są oni głównemi sprężynami, także przy werbowaniu najemników do innych działów pracy, głównie wiejskiej. Ile ta forma poszukiwania robotników złego przynosi, widzieliśmy w powyższych przykładach. Handlarz cudzej pracy pochłania sumy w rozmiarach zarobku najmity, a czasem większych; oplątuje go umową zdradziecką, obarcza karami, daje mu zaliczki, pieniądze na drogę, karmi go przez cały sezon robót. Oczywiście na produktach żywności musi także zarobić, a więc są one liche i drogie. Oto przyczyna wiecznego zadłużenia najemników, ich powrót do domu bez grosza i zupełne zaprzedanie się w ręce spekulanta, czyniącego obroty pracą ludzką. Niekiedy przy poszukiwaniu robotników stykają się oni w jednej miejscowości i wtedy wybucha walka konkurencyjna, która się skrupia na najemnikach.

Tak więc na gruncie nienormalnych warunków wyrastają te pasorzyty, pająki o wiele groźniejsze, niż z galeryi typów Junoszy. Pochłaniają oni całkowitą sumę dobrobytu wielkich mas ludności wiejskiej. Mniej lub więcej wyraźnie i bezczelnie działają wszędzie, gdzie tylko chodzi o partye najemników do robót sezonowych: żniw, kopania kartofli, uprawy buraków, koszenia siana, wreszcie do wielkich przedsiębiorstw irygacyjnych, osuszania błot itd. Przy kanalizacyi bagnisk aferzyści dochodzą do wielkich majątków, biorąc na własną rękę wyszukanie i najem sił roboczych. Jest to czynność, nie wkraczająca w dział zadań inżenierów. Dają oni tylko wskazówki ogólne, czuwają bardzo sumiennie nad stroną techniczną; gospodarcza najczęściej wpada niepodzielnie w ręce pośredników.

Do uregulowania takich nienormalnych objawów życia przystąpić mają właśnie sfery prawodawcze i na pierwszym planie umieściły zniesienie handlu cudzej pracy. Dotąd nie znamy zasad tej reformy. Przypuszczać wszakże należy, iż tu wejdą jakieś ważne środki ułatwienia najmu bezpośredniego, zmieniającego z gruntu system dzisiejszy. Dodać winniśmy, że w tej mierze niepośledni rolę odegrają także ulgi komunikacyjne, dziś już istniejące, dzięki reformie taryf pasażerskich, w których przewóz robotników specyalnie jest uwzględniony. Prawdopodobnie z czasem przedsiębiorstwa żeglugi parowej będą musiały takie same ulgi wprowadzić w ścisłej łączności z komunikacyą kolejową. Najliczniejsze bowiem i najbardziej ożywione wędrówki ludności robotniczej przypadają na wiosnę, lato i jesień, częstokroć zaś komunikacya wodna większe ma znaczenie, niż kolejowa, bo podróż rzeczna w ogólnej drodze po kilkaset wiorst zajmuje.

Deeg.

Komunikacya wodna. Kilkakrotnie w sferach ministeryalnych poruszano tę ważną sprawę, a nawet jej opracowanie powierzono osobnej komisyi. Obecnie po przerwie znowu wyszła na porządek dzienny. Przedewszystkiem zwrócono uwagę na potrzebę połączenia Dniepru z Dźwiną zachodnią. Jednocześnie będzie rozpatrzony drugi projekt: połączenia Dźwiny zachodniej z górną Wołgą dla ułatwienia zbytu produktów gubernij wschodnich i środkowych do Rygi. Obfitego materyału w tej mierze dostarczyła już komisya p. Lipina, która badała na miejscu warunki komunikacyi. Połączenie Dźwiny z Petersburgiem za pomocą rzek Łowati lub Wołchowa albo Wielkiej i Narowy, dałoby możność dogodnego zbytu produktów naddnieprza i jego dopływów do Petersburga i gub. nowogrodzkiej. Cała długość drogi wodnej z Kijowa do Petersburga byłaby dłuższa, niż od Niższego Nowogrodu, za pośrednictwem „systemu maryjskiego“ tylko o 200 wiorst. Projekt połączenia Dźwiny z Wołgą już oddawna zaprzątał uwagę rzeczoznawców, bo jeszcze w r. 1823 komisya, stworzona dla badań w celach strategicznych, orzekła, iż droga powyższa jest niezmiernie ważna dla państwa. Miejscowości bagniste stanęły wszakże na przeszkodzie. Dzisiaj atoli technika inżenierska posunęła się bardzo wysoko, można więc przypuszczać, że owe trudności zmalałyby już znacznie. Zdaniem obecnej komisyi, wykonanie tego dzieła jest całkiem możliwe i nawet nie pociągnie za sobą zbyt wielkich kosztów, bo tylko około 1,800,000 rs. Ale z drugiej strony nie da tak wielkiej korzyści w dziedzinie handlu i przemysłu, ażeby się opłaciło to przedsięwzięcie. Zupełnie inaczej się przedstawia połączenie Dniepru z Dźwiną zachodnią i Łowatą. W skład tej drogi wejdą: Dniepr od Kijowa do Orszy (727 w.), połączenie Łuczo-Orszyckie (100 w.), Dźwina zach. (57 w.), Uswiat i kanał (55 w.), Łowat' (420 w.), jezioro Ilmeń (30 w.), Wołchow (202 w.), kanały ładoskie i Newa (168 w.), ogółem na przestrzeni 1,759 wiorst. Koszt jednolitego połączenia drogi olbrzymiej obliczono na 6,000,000 rs. Pod względem ekonomicznym komunikacya ta, jako arterya taniego i dogodnego transportu, może mieć doniosłe znaczenie dla wielkich obszarów państwa od morza Czarnego do Bałtyku i rynków północnych.

Giełdy. P. Cytowicz obmyślił projekt przekształcenia giełd według następujących zasad: Wszystkie mają być podzielone na trzy grupy: do pierwszej zaliczono petersburską i moskiewską, do drugiej warszawską, odeską i ryską, do trzeciej—pozostałe. Zarząd należy do komitetu giełdowego, składającego się z 24 osób, wybieranych na trzy lata. Dostęp na giełdę mają wszystkie osoby, prowadzące handel po wniesieniu 50 rs. wpisowego i 25 rs. opłaty rocznej. Przy sporządzaniu notowań urzędowych na zebraniu winno być obecnych przynajmniej trzech członków komitetu. Meklerzy bez ograniczenia liczby mogą prowadzić operacye na zlecenie i rachunek własny. Wszelkie nieporozumienia i spory rozstrzyga komitet większością głosów; w razie niezgodzenia się na postanowienie 10 członków komitetu, uchwała może być przedstawiona ministeryum finansów. Wstęp kobietom

*) *Robotnik fabryczny* (Fabrycznyj rabocziJ). Warszawa, 1889.

na giełdę jest wzbroniony. Członkowie mogą być pozbawiani prawa wejścia zupełnie lub chwilowo. Zabronienie udziału w giełdzie dotyczy nietylko jednej, lecz wszystkich giełd w obrębie państwa.

— W marcu otwarte będą oddziały Banku państwa w Jejsku, Nowoczerkasku, Łucku, Brześciu Litewskim i Białej Cerkwi.

— Na przeprowadzenie robót przygotowawczych około organizacyi skarbowej sprzedaży wódki w guberniach: besarabskiej, wileńskiej, witebskiej, wołyńskiej, grodzieńskiej, jekaterynosławskiej, kijowskiej, kowieńskiej, mińskiej, mohylowskiej, podolskiej, połtawskiej, taurydzkiej, czernihowskiej, chersońskiej i w Królestwie Polskiem, wyznaczono 10 milionów rs. W planie robót są piwnice, urządzenia rektyfikacyjne, gorzelnie, składy do rozlewania i przechowywania spirytusu, nabycie inwentarza, aparatów, zwiększenie kompletu akcyzowego, wydawanie pożyczek osobom prywatnym na rozszerzenie zakładów rektyfikacyjnych.

O PRAWDĘ.

O „marną zgraję.“

(Odpowiedź p. Karpowiczowi.)

Autor skierowanego do mnie żalu pt. „Jak brzydko bronią piękna,“ zmusza mię do popełnienia, w imię prawdy, całego szeregu nieskromności, których grzech przeto z czystem sumieniem zwalam na jego barki. Ponieważ jest on przeciwnikiem tego rodzaju piękna, jakie wprowadził do malarstwa naszego ś. p. Podkowiński (jeżeli wogóle można mówić o rodzaju, gdy się ma przed sobą zaledwo jeden obraz) ja zaś wielkim zwolennikiem, więc niepodoba się mu to wszystko, co w obronie talentu świeżo zmarłego artysty powiedziałem. Jest to różnica gustów bardzo naturalna; na nią lekarstwa niema i ona też nie może być przedmiotem polemiki, która w niniejszym zakątku *Prawdy* nosi przeważnie charakter osobisty lub okolicznościowy.

Nie mogę jednak zostawić bez sprostowania pewnych ważnych błędów faktycznych, które p. Karpowicz w przedstawianiu mojego stanowiska estetycznego popełnia z krzywdą dla prawdy osobistej i dla prawdy naukowej, o którą mu chodzi. Oto one:

Najsłuszniej w świecie oburzając się na tych zwolenników sztuki niezawisłej, którzy myślą, że np. dzieła malarzy przeznaczone są tylko dla malarzy, i że kto nie zna się, dajmy na to, na synchromii, nie może posiadać ani rzetelnego poczucia piękna, ani prawa, czy racyi do jego oceny—p. Karpowicz do tych, aż do śmieszności nielogicznych artystów zalicza i mnie. Ja jednak nie mam zaszczytu być żadnym artystą, nie znam nawet nazw farb dziś używanych. Nadto od lat dziesięciu nie pomijam żadnej sposobności powtórzenia tego, co ostatnio w styczniowym zeszycie *Ateneum* wyraziłem na paru stronicach i z czego wyjątek tak brzmi:

„Dosyć marnie żyliby i wyglądali malarze, gdyby zostawali na łasce własnej wymowy. Trzebaby byłoby odczytywać ich zamiary i chęci, jak pismo tajemniczego zakonu, tj. przy pomocy jakiejś akademii napisów... Malarstwo nie jest żadnym „fachem“ ani „specyalnością,“ którąby z mocy podziału pracy wykluczała inne zawody, to nie jest coś zamkniętego w sobie, ale jeden z objawów dzielności twórczej, bogactwa duchowego, żywotności tej samej, która znajduje jeszcze wyraz w innych tak zwanych sztukach pięknych. Jest to myśl lub czyn tej samej zbiorowej osoby, która wydaje poezyę lub symfonię i t. d.“

Przeciwko zaś twierdzeniu, „że temat nie odgrywa w malarstwie żadnej roli,“ występowałem już choćby tylko na łamach *Prawdy* (np. w „Sekcie estetycznej“) tak często, że nawet nie potrzebuję odwoływać się do pamięci jej czytelników.

Dlaczego więc p. Karpowicz mnie, literata tylko literata, pomawia o literatofobię—*sit venia verbo*—tego doprawdy nie pojmuję. Jużeli na takiej z jego strony pretensyi opiera się i jego żal do mnie za namiętną obronę twórczości Podkowińskiego, no, to przyznam—wyglądać to będzie dosyć zabawnie—że ten żal uważam za zamaskowaną jedynie sympatyę dla mnie, którą też wcale nie gardzę, albowiem im więcej jest nas nieprzyjaciół malarstwa, chcącego być *malarszczyzną*—tem dla sztuki i ogółu lepiej. Tylko że—pośpieszam dodać—dla p. Karpowicza bywają talenty oryginalno-zwyrodniałe, czyli innemi słowy, jakieś talenty beztalentowe i takie *mixtum compositum* przypisuje on właśnie Podkowińskiemu,—dla mnie zaś talentem nazywa się suma, na którą muszą się złożyć i oryginalność i świeżość, i technika, i pokrewieństwo z ideałami—nie modą—czasu lub danego pokolenia. A ponieważ w „Szale“ widzę właśnie przedewszystkiem zwrot śmiały ku poezyi w malarstwie, na miejsce bezduszności i bezmyślności, i to poezyi silnej i młodzieńczej, acz zgrzytliwej, jak niejeden genialny motyw w poezyi Akalipsy (Henocha lub Jana), u Słowackiego, Byrona, Szekspira lub Wiktora Hugo, więc się nim raduję jak tryumfem żywiołu, choć posępnego i dzikiego, nad martwotą.

Pan Karpowicz czuje się obrażonym, że jego rozprawę drukowaną w *Ateneum* pt. „Nowy objaw zwyrodnienia w sztuce“ przyrównałem do wypracowania młodych kleryków. Doprawdy, byłby daleko zręczniej uczynił, nie żądając odemnie uzasadnienia tej figury stylowej. Bo muszę oto przytoczyć taki ustęp: „Nasz chłop, -którego pojęć jeszcze żadne „szkoły“ malarstwa nie zbałamuciły, nie mający wyobrażenia o „naturalizmie,“ z pogardą i oburzeniem patrzy na nasze „nimfy“ i „syreny.“ Więc my mamy patrzyć na obrazy nowoczesnego malarza oczyma chłopa!!! Nam zaś ludziom ucywilizowanym „pozostały tylko wypieszczone w próżniactwie, drażliwe aż do histeryi zmysły.“ Więc my mamy i etykę chłopa sobie przyswoić, łamać drzewa przydrożne, bić żony, ubóstwiać krowy? Czy p. Karpowicz sądzi, że chłop i „dziki wyspiarz oceanu Wielkiego“ mają zmysły szlachetniejsze i większą czułość „na dolę i niedolę ludzką“? Tu osłupieć można

Przecież taka filipika zwraca się wrogo przeciw wszystkim wogóle tematom miłosnym w sztuce, skoro nawet faunom i nimfom nie przebacza. Czy więc nie miałem prawa przyrównać jej do wypracowania kleryka?—wypracowania, gdyż jest to pomieszanie pojęć moralnych i estetycznych w coś tak chaotycznego, że nie podejmuję się tej gmatwaniny rozwikłać.

W dalszym ciągu p. Karpowicz przypisuje mi twierdzenie, iż „zasad piękna tak samo określić nie można, jak zasad etyki niezależnej,“ gdy ja powiedziałem: „*niczyj ideał nie może być rozkazem, obowiązującym ogół*, tak jak nim być nie może ideał moralności niezależnej“ Co ma jedno wspólnego z drugiem? Ja właśnie *w tem samem miejscu* powiadam wyraźnie, że *zasady istnieć mogą*: „Piśmiennictwo wydało już niejeden taki postulat powszechny, nader poważnie obwarowany ścisłemi danemi nauki i życia“ i przeto „przyznaję mu znaczenie kwestyi, po prostu powołanej *do wieńczenia* wszelkich roztrząsań o pięknie i sztuce“ (*Estetyka* str. 22). I czytając te słowa p. K. utrzymuje, że podług mnie „nie można określić zasad piękna“!

Może mi kto pomoże to zrozumieć, bo ja sam, dalibóg, nie mogę.

P. Karpowicz docina mi: że prawdopodobnie miałem na myśli etykę „naukową,“ a potem, że „kto się nie zajmował teoryą moralności, ten samo przez się nie wie, czy i jakie ma ona zasady.“ I oto muszę być znów nieskromnym i przypomnieć, że ja prawie cały tom studyów poświęciłem etyce, i nawet mój „Zarys syntezy“ etycznej podobało się niektórym sprawozdawcom nazwać poglądem zupełnie oryginalnym. Za to ja mam poważne wątpliwości, czy pan Karpowicz zna literaturę etyki, bo inaczej musiałby się z określeniem „etyka niezależna“ spotkać dużo razy, a przedewszystkiem w *Etyce* W. Wundta, który dzieli wszystkie systemy moralne na: *autoritative* (podległe) i *autonome* (niezależne).

Co więc oznaczają wszystkie te żale i to zabawne odwracanie kota ogonem, obok widocznego braku przygotowania? Na co ta niecierpliwość w ocenianiu tego, co *może* ja napiszę w swojej *Estetyce*. Czekajmyż trochę! Gdy wyjdzie całość, zrobię sobie przyjemność ofiarowania p. K. jednego egzemplarza z prośbą o najsurowszą ocenę z warunkiem wszakże, że będzie czytał od lewej strony ku prawej.

Co mi jest bardzo przykrem, to, że szanowny mój przeciwnik wziął do siebie słowa moje, rzucone tym, co Podkowińskiego przed rokiem kłuli i ośmieszali, a teraz pod niebiosa wynoszą. Nazwałem ich „marną zgrają.“ Ależ w moim artykule wzmianka o p. Karpowiczu zgoła się z tym urywkiem nie łączy i niepotrzebnie ponoś on się dopatrywaniem solidarności między sobą a tymi, dla których sam ma prawdopobnie wzgardę i politowanie. Mnie chodziło o komedyanctwo reporterów, co to umieją np. *dzień w dzień* wychwalać głupi, blagierski cykl Extera p. t. „Adam i Ewa,“ jakieś wstrętne kłębowisko flaków i małpiarstwa, podawane bezczelnie za coś symbolicznego lub neo-bizantyjskiego, a o takiem dziele natchnienia, jak „Marsz żałobny“ Podkowińskiego odzywają się, że to: perkalik, co mają czoło z politowaniem wyrażać się o Matejce nawet na grobie jego, co... Ale tym dajmy pokój—to jeszcze ludzie poważni. Są w t. z. krytyce rzeczy gorsze, o których spokojnie mówić nie można. Niech p. Karpowicz zobaczy np., jak się pisze sprawozdania niepodpisane, np. w *Kuryerze codziennym*, a przyzna mi sam, że nazwa „marna zgraja“ jest zaledwo słabym cieniem tego, czem ich autorowie są. Mojem zdaniem, użyłem wyrażenia nader łagodnego, tak jak gdybym np. zamiast powiedzieć: oszust literacki lub artystyczny, powiedział „Literat Oszuski“ albo zamiast „reporter kanalja“ powiedział „Reporter Kanalski,“ albo zamiast rzezimieszek dziennikarstwa napisał „Rzezicki“ lub „Mieszkowski.“

Cezary Jellenta.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W uzupełnieniu Najwyżej zatwierdzonych d. 26 marca 1892 r. tymczasowych przepisów o osiedlaniu się w gub. wołyńskiej osób nierosyjskiego pochodzenia, zaprojektowano ustanowić przepis następujący: Wychodźcom zagranicznym, którzy osiedli w gub. wołyńskiej przed d. 29 marca 1892 r. i zapisanym do towarzystw miejskich lub gromad wiejskich, wolno jest odnowić swoje dzierżawy na tych samych warunkach, na czas jednak nie dłuższy, niż 10 lat.

Zdrowie publiczne. W Londynie sroży się silna influenza.

— Mieszkańcy Targówka i innych krańcowych dzielnic Warszawy, skarżą się na wywożenie nieczystości dla użyźniania pól pobliskich, co działa szkodliwie na zdrowie ludzkie.

Koleje i komunikacye. Pierwsza kolej Mikołajewska wprowadza wkrótce dwa pociągi dziennie z wagonami 4-ej klasy do komunikacyi miejscowej i bezpośredniej z innemi liniami.

— Postanowiono przystąpić na wiosnę do budowy kolei od Tyflisu do Karsu na przestrzeni 282 wiorst Koszty 23 mil. rs., oprócz taboru ruchomego.

— Koleje Południowo-Zachodnie przejdą do skarbu w b. m.

— Towarzystwo kolei Kijowsko-Woroneżskiej otrzymało koncesyę na budowę linii z Kijowa przez Brańsk do Moskwy.

— W biurach kontroli rachunkowej kolei Wiedeńskiej coraz większe znajdują zastosowanie arytmografy, przy których pomocy można łatwo wykonywać działania arytmetyczne całemi kolumnami cyfr. (*Gaz. polska*).

Dobroczynność. Zmarły d. 20 stycznia r. b. w warszawskim szpitalu św. Ducha Konstanty Kinitz z pow. telszewskiego zapisał swój majątek, wynoszący około 25,000 rs., w połowie Akademii umiejętności na wydawnictwa historyczne i naukowe, w połowie zaś na gimnazyum w Cieszynie.

— Dr Canini, który zmarł niedawno w Liworno, zapisał cały swój majątek, 2,300,000 lirów, na budowę szpitala wyłącznie dla bezpłatnego leczenia surowicą dzieci, chorych na dyfteryt.

Gabinet zoologiczny w Warszawie po zmianie urządzeń wewnętrznych znowu otwarto dla publiczności. Stworzono nowy oddział, gdzie w wielkich gablotach oszklonych pomieszczono drzewa, krzewy i gniazda z jajami ptaków drapieżnych, ogrodowych, polnych i wodnych, a w szafach — gniazda ptaków krajowych. Powiększono znacznie dział skorupiaków, gadów i owadów. Pomiędzy zbiorami tych ostatnich osobno umieszczono owady, niszczące drzewa i rośliny polne tudzież ogrodowe.

Zmarli. Maryan Aleksander Baraniecki, w Krakowie, matematyk, profesor uniwersytetu.

— August Vacquerie, w Paryżu, naczelny redaktor pisma *Rappel* i *XIX Siècle*.

— Dr, Maks Lortzig, w Sieglitz, znany pisarz niemiecki.

OFIARY.



Jako ofiarę od M. G. z Zawiercia na wpis dla ucznia szkoły Pankiewicza rs. 3.



— Po raz czternasty Warszawa ma w tym roku wysyłać na wieś, na **kolonie letnie**, dzieci słabowite rodziców ubogich.

W roku zeszłym dzięki ofiarom i pomocy ludzi dobrej woli w całym kraju, przeszło 1,800 dzieci warszawskich krzepiło zdrowie i siły na świeżem powietrzu.

Grono osób, niżej podpisanych, otrzymało w r. z. upoważnienie władzy (odezwa J. W. General-Gubernatora z d. 17 kwietnia 1894 r., za Nr. 3668) do zbierania ofiar i do urządzania kolonij letnich w latach 1894 i 1895, na warunkach przez tęż władzę określonych.

Grono to, przystępując obecnie do wyboru dzieci, wysłać się mających w r. b. na kolonie letnie i do zebrania zawczasu potrzebnego na ten cel funduszu, zwraca się z prośbą o przyczynienie się ofiarą do dzieła, którem wnosi się zdrowie i pociechę pod dach naszych uboższych braci.

Kolonie letnie kapitałów nie posiadają; istnieją i rozwijają się jedynie kosztem corocznie zbieranych ofiar. Bóg da, że i w roku bieżącym ofiar tych nie zbraknie, że oczekiwania rodziców, niemogących własnymi środkami ratować swych dzieci, zawiedzione nie będą.

Ofiary składane być mogą na ręce Skarbnika, Dyrektora Aleksandra Czajowicza, codziennie od godz. 2 do 3, w biurze Dyrekcyi Towarzystwa kredytowego miejsk. (ul. Włodzimierska), a nadto na ręce osób niżej wymienionych i wreszcie w redakcyach czasopism.

Brzezińska Emilia, Karłowicz Irena, Krzycka Marya, Natanson Leonia, Pawińska Jadwiga, Czajowicz Aleksander, Konic Henryk, Lubowski Henryk, Pawiński Adolf, Skłodowski Władysław, Święcicki Julian Adolf, Tauenbaum Leon, Wieniawski Julian.

Przewodniczący *St. Markiewicz*.

Pomoc lekarska w nocy

Bracka 19.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 17 Февраля 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.